MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XII. Nr. 53. WARSZAWA, 4 GRUDNIA 1932 R. CENA NUMERU 80 GR.

WOLNOŚĆ GOSPODARCZA A LIBERALIZM I NACJONALIZM

W najbliższych dniach ukaże się książka prof. Romana Rybarskiego pt. „Przyszłość gospodarcza Polski". Z pracy tej — dzięki uprzejmości autora — podajemy poniższy ustęp:

ZWOLENNICY „gospodarki planowej" ułatwiają sobie zadanie w polemice, gdy każdego, kto poddaje ją krytyce, pasują na liberała, na wyznawcę kierunku, który w wolnej konkurencji, w wolnym handlu w świecie widzi alfę i omegę swojego programu. Otóż należy tu odróżnić liberalizm ekonomiczny, od liberalizmu, który w dążeniu do zysku w wolnej zupełnie grze sił ekonomicznych widzi podstawę ustroju społecznego. A w haśle wolności ekonomicznej trzeba odróżnić wolność handlu światowego, międzynarodowy podział pracy, od wolności wewnątrz gospodarstwa narodowego. Może ktoś być zwolennikiem kolektywizmu, a równocześnie głosić wolność handlu międzynarodowego; można stać na gruncie jedności gospodarstwa narodowego, odgradzać je nawet od innych, a równocześnie widzieć w wewnętrznej wolności główną sprężynę gospodarczego rozwoju.

Instytucji własności prywatnej, jako zasady rozwijania działalności gospodarczej, nie stworzył dopiero liberalizm. Istniała ona w różnych epokach, od tysięcy lat; nawet we wczesnem średniowieczu indywidualizm gospodarczy zaznaczał swoją twórczą siłę. Wolność gospodarcza jest dla nas narzędziem skutecznego rozwoju gospodarczego, oczywiście w granicach, o których mówiliśmy poprzednio. Ale nie jest ona podstawą więzi społecznej. Na prawach jednostki, na dążeniu do zarobku, nie można opierać istoty społeczeństwa. Dążenie do zysku, walka zarobkowa same przez się nie wprowadzają jeszcze harmonji społecznej; przeciwnie, jedność społeczeństw, a przedewszystkiem, w dzisiejszej epoce dziejów, jedność narodu opiera się na podstawach pozagospodarczych. Naród jest przedewszystkiem moralną jednością; wspólne tradycje, kultura, religja i t. d., wspólne wierzenia są czynnikiem, spajającym różne gospodarstwa w jedną całość, hamującym bezwzględną walkę gospodarczą, czynnikiem równowagi warstw i klas społecznych. Własność prywatna, działalność gospodarcza prowadzona na własny rachunek, daje podstawy pod siłę gospodarczą narodu; ale sama przez się nie tworzy jeszcze tej siły, muszą przyjść inne jeszcze pierwiastki, które zespolą gospodarstwo z innemi przejawami życia i twórczości narodu.

Społeczeństwo, któreby za główną swoją ideę wzięło walkę o byt ekonomiczny jednostek, w którem by chęć zbogacenia się górowała nad wszelkiemi innemi dążeniami i uczuciami, ugrzęzłoby w bardzo poziomym materjaliźmie. Stałoby się terenem nieskończonych walk gospodarczych, co doprowadziłoby także i do jego ekonomicznego upadku. Gdyby w hierarchji życiowych wartości pierwsze miejsce zajął pieniądz, wówczas nastąpiłby upadek moralności i kultury. Żądza posiadania i użycia musi mieć swoje hamulce — a znajduje je w religji, w poczuciu narodowem, które poszczególne jednostki wznosi ponad wyłączną walkę o byt i dobrobyt, stawia przed niemi wyższe uczucia i cele, a tem samem wprowadza ład i porządek w działaniu egoizmów jednostek czy klas społecznych.

Dlatego też należy odrzucić liberalizm, jako pogląd na świat, który na pierwszy plan wysuwa prawo jednostki. Nie godzi się on z podstawowemi ideami kierunku narodowego. Ale czy z t. zw. „nacjonalizmem" godzi się wolność gospodarcza; czy jeżeli za podstawowe ugrupowanie społeczne uważa się naród, przez to samo i w dziedzinie gospodarczej nie idzie się wyraźnie przeciw jednostce, nie ogranicza zasadniczo jej wolności gospodarczej?

Nacjonalizm nie jest kierunkiem uniwersalnym, którythby miał jedną doktrynę, w szczególności jeden pogląd na życie gospodarcze. Ściśle biorąc: niema nacjonalizmu, są tylko różne nacjonalizmy, jeżeli już mamy posługiwać się tym terminem. W pewnych wypadkach wolność gospodarcza

może służyć najlepiej potędze narodu, jego ekspansji; w innych znowu bardziej skutecznym będzie inny system ekonomiczny. Nikt nie zaprzeczy temu, że hasła wolnego handlu, międzynarodowego podziału pracy, które od końca XVIII wieku wychodziły głównie z Anglji, posiadającej przemysł wyżej rozwinięty, niż w innych krajach, walnie przyczyniły się do ugruntowania jej potęgi w świecie. Adam Smith więcej dla niej zrobił, niż niejeden wielki mąż stanu, wyznający otwarcie zasadę: *„right or wrong, my country“*. Mussoliniego nie posądzi nikt o brak nacjonalizmu, a przecież Mussolini jest dzisiaj zwolennikiem zniesienia ograniczeń wolności gospodarczej w handlu międzynarodowym, zwalcza wymownie „barjery celne“, widocznie widzi w zwycięstwie międzynarodowej wolności gospodarczej bezpośrednie korzyści swojego narodu.

Stawiamy wyżej wspólność narodową nad prawa jednostki. Naród, to nie tylko żyjące pokolenie, lecz i te, które przedtem żyły i które po nas przyjdą. Ale naród, w danej chwili, składa się z żywych ludzi, z ich gospodarstwami. Niema powodu przypuszczać, że między interesem gospodarczym jednostek, a interesem gospodarstwa narodowego zachodzi zasadnicza sprzeczność. Naród wymaga od swoich członków, w razie potrzeby, ofiar z życia i mienia. Jeżeli jednak zostawienie wolności gospodarczej wzmacnia siłę całego gospodarstwa narodowego, jeżeli uważa się, na podstawie doświadczeń własnych i cudzych, że upaństwowienie gospodarstwa, przejęcie przez państwo całej za nie odpowiedzialności nie ugruntuje potęgi gospodarczej, należy odrzucić ten system, właśnie w imię interesów narodu, a nie praw jednostki.

Kierunek narodowy uważa państwo za narzędzie urzeczywistnienia swoich idej. Nie uznaje władzy państwowej, w szczególności władzy wykonawczej za jedyne wcielenie narodowego ducha, za wyłączną dziedzinę narodowej twórczości. Naród żyje przez państwo, lecz także i poza państwem. Żyje w trwałych instytucjach, które coprawda pozostają pod opieką państwa, lecz mają swój byt, niezależny od woli każdorazowej władzy wykonawczej, od decyzji rządu. Widząc w religji źródło siły narodu, nie dąży do tego, by upaństwowić Kościół, by z niego zrobić departament administracji państwowej. Uznaje prawa rodziny, nie odbiera rodzicom wpływu na wychowanie dzieci. Do udziału w polityce gospodarczej powołuje także i związki społeczne, chce w nich rozbudzić poczucie odpowiedzialności za losy całego narodu. Zgodnie z tem i w prywatnej działalności gospodarczej widzi źródło narodowej siły i dlatego wprowadza przymus w gospodarstwie tylko wtedy, gdy tego wymagają ogólno-narodowe względy.

ROMAN RYBARSKI

PRAWO WIĘKSZOŚCI

(Dokończenie)

PRZEDEWSZYSTKIEM gdzie raz ustalono, że większość dyktuje swą wolę całości, tam zawsze naginano sposoby głosowania do tego celu, aby rządzić pod postacią większości. Król francuski w XV wieku umiał tak grupować przedstawicieli narodu, aby zawsze wygrywać głosowania. Demokraci XIX wieku wynaźli sztukę „geometrji wyborczej“ (amerykańskie Gerrymander), przy której pomocy, wykrawając odpowiednio obwody głosowania, dają pewnym partjom większość mandatów (osiągniętych słabą większością), gdy inne mają ich mniej, za to każdy oparty o mocną większość wyborców. Mussolini uznał za słuszne, i przeprowadził w ordynacji, aby partja, która okazała się w kraju (lub według późniejszej ustawy, w okręgu) stosunkowo najsilniejszą, zdobywała murowaną większość $^2/_3$ mandatów. Polska ordynacja wyborcza zapewnia dodatkowe mandaty z tak zwanej listy państwowej nie tym obozom, które skutkiem rozproszenia nie osiągnęły ich w okręgach, ale właśnie tym, które ich zdobyły najwięcej.

Pomysły te dyktowane są chęcią oszczędzenia krajowi wstrząśnień z rozłamów i przesunięć między partjami w parlamencie; jakkolwiek bowiem nie każdy naród, który przyswoił sobie regułę większości, umie się nią posługiwać, jednak przedstawiciele ludu wszędzie chcą rządzić, a nietylko pisać ustawy, a tem samem muszą się łączyć w bloki, nie zaś zgadywać przy każdem głosowaniu chwilowe pragnienia wyborców, i nie wciąż przegrupowywać się zależnie od nastroju chwili. Zresztą w ciele wyborczem rzadko istnieje gotowy pogląd większości na pewną kwestję; interesy wspólne obejmują często odłamy mniejsze, niż połowa narodu, a nieraz nawet w tej samej sferze społecznej kłócą się interesy duchowe z materjalnemi. Tak dla dojścia do władzy łączą się ludzie, którzy chcą ceł ochronnych ze zwolennikami bimetalizmu, z przeciwnikami odłączenia kościoła od państwa, ze zwolennikami prohibicji, by zlepić na wyborach, a potem w izbie większość z różnych mniejszości. Do tego służą kartele wyborcze (zblokowane listy), gdzie jedna partja oddaje drugiej, sprzymierzonej nadmiar swoich głosów, tudzież związki partyj, występujące na wyborach pod jedną firmą. Takie sztuczne większości zresztą zwykle same podkopują swój byt.

Co więcej, opinja faluje w prawo lub w lewo, a jej przedstawiciele zwykle wyprzedzają w tych ruchach ogół zwolenników. Jeżeli naprzykład liberałowie zdobyli większość $^2/_3$ głosów, to kierownictwo wśród nich może chwycić odłam radykalny, reprezentujący $^2/_3$ klubu, a odłamowi temu w kraju odpowiada $^4/_9$ t. j. mniejszość obywateli; tak samo może rządzić mniejszość reakcyjna, oparta o większość łagodnie konserwatywną. Przytem duży procent wyborców stale wstrzymuje się od głosu, tak iż rozstrzygają walkę odłamy, nie dochodzące do 50% narodu. Stąd usiłowania, aby sprawdzać wolę większości w kraju, albo w poszczególnych wypadkach za pomocą *referendum* lub *veto* ludowego (Szwajcarja), albo przez rozwiązanie izby i apel do wyborców (w Anglji), albo wprost przez rozstrzyganie spraw ważnych i zasadniczych głosowaniem powszechnem. W tych wypadkach rozumie się, że przy *veto* ludowem, kto milczy, ten aprobuje, przy *referendum* zaś, kto milczy, ten uchwały nie chce.

Wreszcie, chcąc zapobiec załamywaniu się i wykrzywianiu woli społeczeństwa w sejmie, obmyślono system wyborczy, przy którym parlament ma stanowić zwierciadło (lub według wyrażenia hr. Mirabeau, „mapę geograficzną“) opinji ogółu ze wszystkiemi jej odcieniami i w rzeczywistem terytorjalnem rozmieszczeniu. System ten nosi nazwę reprezentacji proporcjonalnej.

Wpływ zasady większości, a zwłaszcza rządów większości w dzisiejszem demokratycznem znaczeniu na życie i kulturę społeczeństw jest ogromny. Z jednej strony walka o mandaty zmusza wszędy partje polityczne do forsownego werbunku stronników, co nieraz udziela się organizacjom nie politycznym, lub zakłóca harmonję życia rodzinnego i towarzyskiego. Na bezpartyjnych zarzaca się sieć doraźnej agitacji przedwyborczej, przyczem nawet w społeczeństwach stosunkowo kulturalnych gromkie hasła, fascynujące imiona, poparte środkami materjalnemi i silnym aparatem wyborczym — niekiedy nawet administracyjnym — odciągają obywateli z dróg, któremiby szli, powodując się rzeczowym programem. W republikach amerykańskich, gdzie niema *„government by majority"* w sensie rządów gabinetowych, mniej znaczy walka o mandaty, więcej — kampanja o wybór prezydenta, z którym zwycięża lub cierpi połowa narodu *(„spoils to the victor")*; z drugiej strony niepodobna zaprzeczyć, że kto głosuje dla dobra stronnictwa wbrew przekonaniu, zadaje wprawdzie gwałt swym uczuciom, ale jeszcze gorzej działałoby np. jak w dawnej Polsce, robienie jednomyślności za wszelką cenę, nawet za cenę jasności myśli i szczerości wobec samych siebie. Co więcej, w dążeniu do przewagi rządu, partje uczą się zapominać o drobnych różnicach, które je dzielą, i podporządkowują interesy drugorzędne kardynalnym, łączą się w bloki, a niekiedy na stałe w większe stronnictwa, co pogłębia indywidualność obywatela, a zarazem upraszcza życie polityczne. Partje na podkładzie klasowym muszą w imię zdobycia większości uwzględniać interesy szerszych żywiołów społecznych, jak to od dawna praktykują konserwatyści i liberałowie angielscy. Angielski system dwupartyjny, ideał niedościgły dla krajów lądowych, wyrobił się w szkole rządów większości, a wpływał na łagodzenie zapędów reakcji i radykalizmu, każda bowiem większość konserwatywna, liberalna czy robotnicza zdaje sobie sprawę, że przyjdą po niej inni, którzy usuną przesadę, a przyswoją sobie tylko umiarkowane, objektywne dobro, stworzone przez poprzedników.

Oczywiście Jej Parlamentarna Mość Większość nie wszędzie zdolna jest do wszystkiego. Niepodobna głosowaniem 500 ludzi poprawiać kodeksów o 500 paragrafach, tą drogą raczej można popsuć w parlamencie przemyślaną pracę prawników fachowców. Dlatego ustawy skomplikowane zwykło się uchwalać lub odrzucać *en bloc*. Bywają sprawy drażliwe, które łatwoby zdepopularyzowały cały obóz lub niektórych jego posłów w oczach wyborców: takie rzeczy zwykła większość oddawać rządowi do załatwienia w drodze pełnomocnictw (rozporządzenia — ustawy). We wszystkiem innem prawidłowe funkcjonowanie większości jest też nie do pomyślenia, bez ustalenia w niej hierarchji autorytetów politycznych i fachowych, tudzież dyscypliny klubowej, co czasem przybiera postać jawnej kliki *(caucus)*, czasem zaś kryje pod sobą rzeczywiste kierownictwo tajnej organizacji. W Ameryce, zdaniem europejskich autorytetów (Bryce, Saripolos), nadmierna karność doprowadza do tego, że izba reprezentantów zamienia się w maszynę do głosowania: bez względu na argumenty strony przeciwnej; wszystko się załatwia tak, jak uprojektowały współdziałające z rządem stałe komitety kongresu, i w rezultacie państwem rządzi nie żadna większość, tylko sześciu dygnitarzy, z prezydentem i *speaker*'em na czele.

Nie tak głęboko, a w każdym razie nie tak gwałtownie, udziela się zasada większości w inne dziedziny poza polityką parlamentarną. W samorządach majoryzacja bywa o tyle mniej ostra, że po pierwsze dominują w nich kłopoty gospodarcze, wspólne wszystkim i wymagające kompromisów, powtóre ponieważ uchwały samorządów nie zapadają w ostatniej instancji, lecz podlegają dozorowi władz państwowych lub samorządu wyższego rzędu. Związki zawodów wolnych, o ile mają charakter przymusowy, stosują przegłosowywanie do spraw, które ustawa zaliczyła do ich kompetencji; jeżeli udział w nich jest dowolny, to większość musi powściągliwie używać swej władzy, aby nie zmuszać niezadowolonych do secesji. W organizacjach gospodarczych wydaje się naturalnem, że np. większość robotników lub delegatów związkowych prowadzi pertraktacje z pracodawcami lub uchwala strajk także w imieniu mniejszości; gorzej godzi się z czystą zasadą liczebną to, jeżeli większość związków robotników kwalifikowanych odsuwa od korzystania ze wspólnej organizacji mniejszość niekwalifikowaną, która niekiedy może reprezentować przeważną liczbę osób. A już karykaturą „największego szczęścia największej liczby osób" jest stała zasada towarzystw akcyjnych, która pozwala kilku potentatom, mającym *gros* akcyj, trzymać w niewoli setki drobnych akcjonarjuszy. Wogóle w życiu gospodarczem majoryzacja może prowadzić do niszczących następstw, np. zupełnego poświęcenia interesów miast interesom wiejskim, albo rolniczych przemysłowym. Nic dziwnego, że z tej sfery najczęściej słyszy się żądania, by punkt ciężkości decyzyj ekonomicznych przenieść z parlamentu do innych zgromadzeń, reprezentujących organizacje społeczne. Reprezentacja Organiczna).

Organizacje dla celów wychowawczych np. rady szkolne, kolegja profesorskie, rady pedagogiczne, poddają się swym większościom, gdy chodzi o sprawy wychowawcze, albo administracyjne, ale nie wówczas, gdy większość chce wyrazić osobiste przekonania polityczne lub moralne ogółu. To samo dotyczy związków religijnych oraz wszelkich zrzeszeń specjalnych, tam większość miewa ściśle oznaczoną kompetencję. Akademje i ogólne towarzystwa naukowe zapobiegają upośledzeniom pewnych gałęzi pracy przez przypadkową większość w ten sposób, iż zgóry przyjmują podział funduszów na różne cele według zgodnie uchwalonego klucza, i wymagają większości kwalifikowanej przy wprowadzaniu nowych członków (rzecz godna uwagi, że pierwszą analizę krytyczną metody wyboru większością głosów przeprowadzili Francuzi, de Borda i Condorcet — właśnie na terenie Akademji francuskiej).

Wogóle można zauważyć, że zasada liczebna musi mieć najszersze zastosowanie tam, gdzie jednostce najtrudniej zerwać łączniki z całością, a najmniejsze tam, gdzie łączniki owe ledwo istnieją. Pod tym względem można uszeregować grupy społeczne w cztery kategorje: państwo, samorząd terytorjalny lub gospodarczy (związki gospodarcze o charakterze przymusowym), stowarzyszenia wolne i luźne zgromadzenia. O majoryzacji w łonie Ligi Narodów mówić wogóle nie czas. Ale też można powiedzieć, że w każdej z powyższych kategoryj, odkąd sięgają rządy większości, zaczyna się dla rządzących moralny obowiązek nie nadużywania władzy.

WŁADYSŁAW KONOPCZYŃSKI

JEDNOSTKA BEZ ŚRODOWISKA

LUBIĘ czytać wrażenia z podróży do obcych krajów, lecz tylko pisane przez ludzi tego samego, co ja, typu psychicznego; bo wówczas ufam sądom podróżnika, patrzy on na stosunki temi samemi, co ja, oczyma, ocenia je z tego samego stanowiska; daje więc materjał podobny do tego, jakibym sam zebrał. Jeśli zaś czytam książkę, napisaną przez kogoś, pochodzącego z innego świata myśli i uczuć, to niewiele się z niej dowiedzieć mogę o przedmiocie, któremu jest poświęcona. Przedewszystkiem zajmuje mnie wówczas sam podróżnik, bo muszę zacząć od zdania sobie sprawy z tego, jak on właściwie myśli i jak odczuwa.

Oto przyczyna, iż czytając rzecz p. Antoniego Słonimskiego p. t. „Moja podróż do Rosji" zainteresowałem się p. Słonimskim, a nie Rosją. P. Słonimski jest bowiem zjawiskiem wysoce ciekawem, jest typem człowieka, oderwanego od swego naturalnego środowiska. Należy do ludu, wychowanego w ciągu paru tysięcy lat w posłuszeństwie bardzo ścisłym regułom i przepisom, ludu, stanowiącego ścisłą religijną kastę, ulegającą dyktatorskiej władzy swego Boga, który wymaga ślepego posłuszeństwa prawom i dekretom. Pochodzi jednak p. Słonimski z rodziny, która się zbuntowała przeciwko swemu środowisku, upodobniła do zbiorowości, wśród której żyć jej przypadło, lecz czysto powierzchownie, nie wchodząc z tem środowiskiem w związki moralne.

Ludzie tego typu są wysoce ciekawemi okazami dla psychologa i socjologa, trudno nie współczuć ich tragicznemu losowi, są oni upośledzeni w porównaniu z ludźmi normalnymi, to znaczy mocno zakorzenionymi w swem środowisku... Są zbuntowani przeciwko swoim, a nie mogą się zżyć z obcymi; cóż im tedy pozostaje innego, jak marzyć o takiej przebudowie świata i o takiej przemianie ludzi, by zginęły raz na zawsze między nimi różnice, wytworzone przez dzieje, by powstała jedna jedyna zbiorowość — ludzkość. Dla takich jednostek, zawieszonych między niebem a ziemią, byłoby to wyzwoleniem, zdobyciem środowiska, w którem mogliby się roztopić bez zastrzeżeń. Odnalazłyby one wówczas to, co człowiekowi do życia koniecznie potrzebne — środowisko własne. Uzyskałyby to, co posiada żyd, żyjący w tradycji swych przodków, co posiada Polak, przywiązany do wszystkiego tego, co stanowi o jego odrębności, a zarazem jest związane z najgłębszemi pokładami jego duszy.

W zetknięciu z nowemi stosunkami we współczesnem życiu rosyjskiem, ujawniają się podstawowe poglądy i odruchy uczuciowe pp. Słonimskich. Pociąga ich to wszystko, co jest zerwaniem i walką z obowiązkami, nakładanemi przez zbiorowość; przejmuje natomiast wstrętem i oburzeniem to, co jest poddaniem się jej przepisom i koniecznościom, nakładanym przez nowy ustrój i nowe stosunki. Pp. Słonimscy pragną wolności i w tem pragnieniu streszczają się dążenia, wynikające z ich tragicznej sytuacji w świecie:

„W czasie mego pobytu w Moskwie"—opowiada p. Słonimski — „oddziały G. P. U. okrążyły pewnego dnia jeden z dworców kolejowych i wszystkich śpiących tam bezdomnych zwagonowano i wysłano w „tiepłuszkach" na Ural. Prawdopodobnie dostaną tam pracę i będzie się im może lepiej spało, niż na kamiennej podłodze dworca. Może państwo ma rację, tak postępując, ale również ma rację człowiek, porwany nocą i wywożony na drugi koniec Rosji. Ma rację taki człowiek, gdy przeklina państwo i władzę. Ta racja jednostki coraz mniej ma na świecie posłuchu i znaczenia. Ale nie jest to błaha racja. Głosy pojedyńczych ludzi, przeklinających swe rządy, rosną w sile. Słuchajmy tych głosów, kto wie, czy nie są one ważniejsze od najpiękniejszych haseł, kto wie, czy nie mają one ostatecznej słuszności, gdy wołają o prawo życia, o szanse dla wszystkich bez względu na to, do jakiej kto należy klasy, narodu czy pokolenia".

P. Słonimski jest z tymi, co przeklinają państwo i władzę; wypływa to właśnie z jego pozycji, z jego zawieszenia między niebem i ziemią, z jego oderwania od własnego środowiska.

Jest też w konsekwencji przeciwnikiem wszystkiego, w czem się wyraża związek jednostki ze zbiorowością, wszelkich obowiązków, nakładanych na człowieka przez tę zbiorowość. Patrzy z całem współczuciem na bezbożnictwo sowieckie:

„Jest rzeczą zadziwiającą jak szybko została zlikwidowana tysiące lat licząca tradycja religijna. Wszystkim, którzy mówią o rzeczach wiecznych i niezmiennych w naturze człowieka, poleciłbym zająć się nieco tem zwycięstwem bolszewików nad cerkwią, a nawet nad samą potrzebą wiary.

Gdy wszedłem do Kościoła św. Katarzyny, ksiądz Francuz odprawiał nieszpory. W wielkim kościele było pusto i chłodno. Gdzieś przy bocznym ołtarzu klęczało kilkanaście kobiet. Nie było ani jednego mężczyzny. Jękliwy śpiew kobiet, modlących się dzisiaj w czerwonym Leningradzie, czynił wrażenie czegoś tak spóźnionego, jak widok strzelca z łukiem w Lasku Bulońskim".

P. Słonimski nie lubi wojska:

„Jeśli się już zmusza ludzi, to lepiej ich chyba zmuszać do budowania szos czy fabryk, niż do przekłówania ludzi bagnetem, albo też do zdychania na drutach kolczastych.

Armja w Sowietach jest ogromnym, spasionym pasorzytem na ciele ubogiego narodu. Większość soków żywotnych idzie na wykarmienie tej elity fizycznej.

Armja wychowuje pewien typ człowieka, człowieka przeszłości".

P. Słonimski nie lubi patrjotyzmu, przywiązania do własności, ujęcia w karby stosunków płciowych:

„Gdzież pisarz ma się czuć bardziej u siebie, niż w tym właśnie kraju (w Rosji), który nie uznaje, przynajmniej teoretycznie, żadnych różnic rasowych, ani patrjotyzmów lokalnych?

Jest w tem przecież coś odpychającego. To drapieżne poczucie własności, to przywiązanie do łachów, które odebrać można tylko razem z życiem, ta miłość do broszki, kanapy czy serwety, większa i gorętsza, niż miłość do ludzi, przeraża raczej, niż zasmuca.

Swoboda kojarzenia się i rozłączania wnosi niewątpliwie uzdrowienie do stosunków seksualnych".

P. Słonimski ceni nadewszystko wolność. Wstrętne mu jest to wszystko, co pociąga i interesuje człowieka, mocno związanego ze środowiskiem swojem i ze zbiorowością, której jest częścią. Wydaje mu się przytem, że przejściowy okres indywidualizmu i materjalizmu w Europie zachodniej jest wstępem do wyższego poziomu życia ludzkości. Biedny człowiek, swoje kalectwo duchowe i swoje przywiązanie do rzeczy przemijających chciałby narzucić ludziom zdrowym i patrzącym w przyszłość.

To też, gdy nas interesuje w Rosji to, co jest ograniczeniem jednostki na rzecz zbiorowości, co jest w zgodzie z nowoczesnemi prądami w Europie za-

chodniej, co przeciwstawia się ideologji wieku XIX, p. Słonimskiego pociąga to wszystko w bolszewizmie, co jest nawiązaniem do błędów i omyłek wieku XIX — socjalizm oraz idee „postępowe“ i „wyzwoleńcze“:

„...zło, panujące w Rosji, jest winą nie zmiany ustroju, ale materjału ludzkiego.

...Rosja pod wieloma względami już dzisiaj przoduje cywilizowanemu światu. Spotkać tu można fragmenty najzupełniej wykończone i mądrze związane z budującym się gmachem socjalizmu. Przeciera się przez mgłę widok pełen uroku.

Tu w Rosji chory leży na stole operacyjnym. Podlega zabiegom chirurgicznym bez znieczulenia. Jeśli zabieg się uda, przyniesie on światu prawdziwe zdrowie i nowe, nieobliczalne siły“.

P. Słonimskiemu się wydaje, że jest heroldem nowych czasów, a jest tylko biednym, oderwanym liściem od drzewa swego ludu, miotanym przez wiatry dziejowe. Jest jednostką, tęskniącą do zaczepienia się o jakąś ziemię i do związania się z jakiemś środowiskiem. Łudzi się, że mu to zakorzenienie się i konieczne ograniczenie da ludzkość.

A ten przyrodzony każdemu człowiekowi pęd jest tak silny, że gotów jest godzić się — mimo swego humanitaryzmu — na przelew krwi, byle „osiągnąć ogólną zgodę na rozbrojenie, zrezygnowanie z nacjonalizmu i wyrzeczenie się dóbr i własności prywatnej“:

„Nietylko wśród tych, co nie mogą czekać, są ludzie gotowi oddać życie za pomniejszenie krzywd, za nowy, sprawiedliwy ład społeczny. Jeśli natura ludzka jest taka, jeśli muszą przyjść rewolucje i tylko tym starym, barbarzyńskim pługiem można orać ziemię pod nowy zasiew i my przy tem będziemy. Bez oślepiającej, żywej wiary, bez entuzjazmu, który przysłania dwoistość i względność rzeczy ludzkich, będziemy bronili od pohańbienia wartości, bez których żyć na świecie nie warto“.

Dochodzimy więc do tego, że p. Słonimski posiada jakąś wiarę, że gotów jest do poświęcenia siebie na rzecz czegoś obszerniejszego i ważniejszego, że nawet rehabilituje walkę orężną... Tylko, że ta jego wiara, to jego poświęcenie, ta jego pochopność do wojny nie są naszą wiarą, nie są naszem poświęceniem, nie są naszą wojną.

I wszystko to nam już jedno, czy p. Słonimski pragnie rozgromienia wszystkich nacjonalizmów na to, by zatrjumfował nacjonalizm żydowski, czy też duszę jego źre tęsknota do świata beznarodowego, w którym nie dolegałoby mu jego kalectwo duchowe...

Te jedno widzimy, że jest nam obcy, że nie możemy współczuć z jego myślami i odczuciami. Jest bardziej obcy — doprawdy — niż Rosjanin bolszewik, w którym, pomimo iż ma mózg opanowany przez martwą doktrynę, istnieje instynktowne i żywe przywiązanie do swej ziemi i swego ludu.

Duszy rosyjskiej, duszy człowieka zrośniętego ze swą ziemią i ze swymi rodakami nie jest zdolny zrozumieć ani nawet odczuć człowiek, oderwany od swego środowiska, musi on myśleć o najważniejszych zagadnieniach ludzkich, jak ślepy o kolorach. I dlatego to, co pisze p. Słonimski o Rosji, nie może obudzić żadnego zainteresowania. Książka jego może zaciekawić czytelnika polskiego jedynie jako obraz duszy kaleczej, skazanej na wieczne tułactwo i tęsknotę do świata, którego nigdy nie będzie, do świata wytworzonego przez beznarodową „Ludzkość“.

VIATOR

CYPRJAN NORWID: INFORMACJA BIOGRAFICZNA — III.

NA WARSZAWSKIM PARNASIE

1

W ROKU 1840 J. I. Kraszewski rzucił w „Tygodniku Petersburskim“ w stronę Warszawy takie wyzwanie:

— Pokażcie mi, jeśli łaska, poetę w Warszawie.

Dopiero po roku Warszawa zdobyła się na odpowiedź. Hipolit Skimbrowicz w wydawanym przy „Gazecie Porannej“ dodatku literackim p. t. „Piśmiennictwo Krajowe“ ogłosił[1]) napuszoną rozprawkę Władysława Bentkowskiego w której ta odpowiedź się znalazła:

— Antoni Czajkowski!

Był to przedruk przedmowy do zbiorku poezyj Czajkowskiego, wydanych właśnie nakładem Bentkowskiego[2]). Nie żałował reklamy, jak zobaczymy niżej. A więc był poeta w Warszawie, co prawda nie warszawianin, przybył bowiem do Warszawy niedawno (1837). „O dawnośmy już“—pisze Bentkowski — „nie mieli takiego poety. O dawno! i aż nadto dawno prassy warszawskie nie wytłoczyły nic podobnego“... Zestawia go z autorem „Grażyny“ i nie wątpi, że Czajkowski Mickiewiczowi dorówna. „Teraz zaś nie rozminiemy się ze słusznością, gdy śmiało i pierwsi twierdzić będziemy, że Czajkowski jest najpierwszym z będących u nas poetów“.

Skimborowicz, który był protektorem Norwida, do słów Kraszewskiego, przytoczonych przez Bentkowskiego, dodał u dołu przypisek: „Odtąd (od r. 1840) do lepszych należą poetów Cyprjan Norwid i Roman Zmorski“.

Jednem słowem w r. 1841 hierarchja poetów warszawskich była taka: Czajkowski, Norwid, Zmorski. Nie zapominajmy, że Norwid w r. 1841 na wiosnę miał dopiero 19 lat skończonych i znany był zaledwie z kilku wierszyków. Przy ówczesnym resonansie towarzyskim taki laur był wyzwaniem poetów do współzawodnictwa i, jak zobaczymy później, turniej taki się odbył.

Hipolit Skimborowicz gorąco popierał Norwida. Jak widać, dbał o jego sławę i o kurs wysoki na rynku warszawskim. On to w swoich wydawnictwach literackich, dodawanych do „Gazety Porannej“, której był redaktorem, zamieszczał dotąd wszystkie utwory Norwida. Przed „Piśmiennictwem krajowem“, w pierwszej połowie r. 1840 dodatek „Gazety“ nosił tytuł „Przegląd Warszawski“, kiedy zaś przyszło do zmiany tytułu i formatu, cała ta

[1]) „Piśmiennictwo Krajowe“ 1841, s. 202—3.

[2]) „Niektóre poezje Antoniego Czajkowskiego“, Warszawa 1841.

nowa impreza nosiła na sobie pieczęć Norwida. W prospekcie, w pierwszych zeszytach pod tytułem, potem na okładce do pierwszego rocznika „Piśmiennictwa Krajowego“ uwidoczniono, jako hasło pisma, urywek z utworu Norwida p. t. „Do...“ (zapewne do pani Skimborowiczowej), przyczem autor pozwolił zmienić pierwsze słowa „My więc“ — na „My też“:

My też, do których pióro, jak proporczyk biały,
Powolnym wiatrem wzdęty, nieskalany jeszcze
Tak drżąco się rozwija... my bez blasku chwały
I bez niecnoty blasku — nasze czucia wieszcze
Pieśnią Bogarodzicy chrzcijmy! a bez końca
Walczmy od wschodu słońca do zachodu słońca!

Był to wielki sukces Norwida. Pod jego wezwaniem zaczęło wychodzić tak pożądane dla świata literackiego nowe pisemko, już ściśle literackie. Za przykładem Skimborowicza poszli potem inni. W roku 1841 powstała „Bibljoteka Warszawska“, w tymże roku zaczął wychodzić „Nadwiślanin“ (5 zeszytów), w r. 1842 „Przegląd Naukowy“ pod redakcją Edwarda Dembowskiego. Narazie było „Piśmiennictwo Krajowe“, pisemko miesięczne w zeszytach o 16 stronicach małej ósemki (czwarta część zeszytu „Myśli Narodowej“), ale zawsze na owe czasy była to chlubna placówka literacka. Wkrótce znaczenie tego pisemka zmalało, gdy „Bibljoteka Warszawska“, założona przez zespół ludzi zamożnych, otworzyła dla literatów podwoje, płacąc—co było nowością—honorarja.

Skimborowicz miał w sobie ruchliwość dziennikarską, był entuzjastą i dyletantem w szlachetnem znaczeniu tego wyrazu. Żmichowska we wstępnym obrazku do „Poganki“ (1845) przedstawiła go pod nazwą Teofila, a jego żonę pod mianem Emilki. Pani Anna Skimborowiczowa, z domu panna Sokołowska, była najczystszym typem entuzjastki. Żmichowska wahała się, jak ją nazywać, aniołem, czy świętą. Widziała w ludziach tylko zalety i wszystkim ufała, entuzjastką była poezji. Skimborowiczowie w swoim domu na Świętojerskiej stworzyli ognisko towarzyskie dla entuzjastów obojga płci. U nich to przy kominku Benjamin opowiada dzieje Poganki. Żmichowska podszyła się pod niego, a w wizerunku jego rozpoznać można rysy Władysława Wężyka.

Kiedy już mowa o „Pogance“, dodam, że ów jej wstępny obrazek pochodzi z jej wspomnień warszawskich, kiedy bawiła w stolicy w latach 1839—1840. Były to lata ożywienia umysłów entuzjastycznych, do czego niemało przyczynili się Skimborowiczowie, a ze względu na Norwida najwięcej nas interesują, bo to były jego początki.

Widzę jego wizerunek, ręką Żmichowskiej skreślony pod postacią Edmunda:

„O Edmundzie „mistyku“ nasza Emilka tak mówiła zawsze: „Mój Boże! jacy to ludzie są niesprawiedliwi! czego oni chcą od tego chłopca? Wyrysował im tyle ślicznych obrazków, wypowiedział tyle ślicznych myśli, a oni koniecznie zapędzają go jeszcze do innej roboty — łają o niepraktyczność i próżniactwo.

Przecież trzeba poprzestać na tem, co kto przyniesie, szczególniej, gdy jest daleko więcej takich, co nic nie przynoszą, a nawet i takich, co przynoszą ze wspólnej towarzystwa skarbony. Lecz ja widzę, towarzystwo rozkaprysiło się teraz. Przyjdzie człowiek z sercem, to go pyta: a masz ty talent? — przyjdzie człowiek z talentem, to nań woła: a masz ty serce?—i tak ciągłe wymagania tylko.

— Ależ, moja Emilciu, — rzekłam raz do niej — cóż robić, jeżeli towarzystwu koniecznie ludzi z sercem i talentem trzeba?

— Jeśli trzeba koniecznie — odpowiedziała mi na to — nie wątpij Gabryello, że ich Pan Bóg ześle, jeżeli zaś nie trzeba koniecznie, tylko towarzystwo uznaje, że takimi być powinni, to ono samo powinno także starać się, aby im drogę ku temu ułatwić: talent otoczyć miłością — to się serce zbudzi, serce wesprzeć ogólnym rozumem — to będzie miało prawdziwego rozumu natchnienia, lecz zawsze wymagać, żądać, cenzurować — to nikogo nie uczy i nikogo nie poprawia.

Tak słusznym uwagom nie przeczyłam wcale, jednakże nie dziwiło mię też bynajmniej, że na Edmunda o czyny wołano. — W istocie ten człowiek miał wielką zdolność do rysunków, i często nam przynosił charakterystyczne, przecudnie nakreślone szkice, miał wielki dar do wymowy i często nam prawił zachwycające rzeczy, lecz poza talentem stał próżny i czczy elegancik, chwiała się giętka i powiewna trzcina. Przezwaliśmy go mistykiem, bo w tym roku właśnie uwierzył w duchy, cuda i magnetyzm. Poprzedniej zimy był zapalonym Heglistą; na przyszłą wiosnę mógł bardzo rozsądnym człowiekiem się zrobić. Jego miękka i wrażliwa natura z otaczającemi ją żywiołami zawsze się do równowagi układała. Ta własność asymilacji, ta własność przyswajania sobie z nazewnątrz wewnętrznych usposobień i przekonań była w nim nawet zupełnie odrębną oryginalnością. Wymawiano mu ją nieraz, lecz ja się ujmowałam, bo w tem korzyść nasza była — zupełnie jak gdyby co kilka miesięcy przychodził nam kto czytać nową, a zawsze pięknym stylem napisaną książkę“.

Żmichowska surowa była dla „Edmunda“. Wydaje mi się, że w Żmichowskiej zaczyna się długi szereg tych osobistości, Norwidowi niechętnych, których potem przybywało coraz więcej, ludzi, którzy się do niego z różnych powodów zrazili. Drugim był Edward Dembowski, który mu wziął za złe, że nie dotrzymał mu konsekwentnie w demokratyzmie, przechodząc do obozu konserwatywnego. Niedługo też trwała zażyłość ze Skimborowiczem. Otóż kiedy Bentkowski wyniósł tak wysoko Czajkowskiego, wypadło w następnym zeszycie przytoczyć dla ilustracji jego utwór. Skimborowicz wybrał z jego zbiorku „Wspomnienia z podróży do Morskiego Oka“, ale żeby nie uchybić Norwidowi, zaraz pod tem [3]) zamieścił wiersz Norwida „Wspomnienie“. Zeszyt ten wyszedł w końcu kwietnia, aliści w majowym zeszycie „Bibljoteki Warszawskiej“ (który jednocześnie był drukowany) ten sam wiersz ukazał się zdziwionym czytelnikom. Wynikła między redaktorami nader przykra korespondencja. W rezultacie pokazało się, że każdy z nich zamieścił wiersz w dobrej wierze, jako sobie ofiarowany do druku. Norwid tłumaczył się niejasno, że wiersz dał Skimborowiczowi tylko do prywatnego użytku, czemu ten ostro zaprzeczył, wreszcie że jakieś krętactwo z listem popełnił Edmund Chojecki, jako pośrednik. Trudno dociec prawdy [4]).

2

Owa łatwość asymilowania się według wpływu zewnętrznego pochodziła z niezmiernej wrażliwości artystycznej i braków w organizacji wewnętrznej, które powodowały, że Norwid nie mógł się skoncentrować. Porywały go ponęty estetycznej natury we wszystkie strony, będzie się starał całe życie dojść w tej mierze do pewnej syntezy filozoficznej, ale nie było w nim tej fali żywotnej, którąby popędy i postanowienia utrzymać mogła w jakiemś stałem łożysku męskiej woli. Jak zobaczymy, cała młodość zejdzie mu na rozdrożach: malarstwo czy poezja? A w tej znowu dziedzinie sztuki — studjum realistyczne, czy symbolika? W życiu zaś: prawda, czy fikcja, asceza—czy tryb światowy? Wszystkie te alternatywy sprawiały już wtedy w młodości, że Norwid sam siebie szukał i znalazłszy gubił, szukał serc i gubił je.

---

[3]) „Piśmiennictwo Krajowe“, 1841, s. 222.

[4]) Opisał tę historję Z. Przesmycki w przypisach: „Pisma zebrane“, t. A, s. 753.

Rozpatrując owe lata 1839—1841, widzimy, jak ważyła się jego karjera między malarstwem i literaturą. Zaczął od rysunku, w nim celował, ale wnet literatura bierze górę. Pragnie w jakiś sposób łączyć jedno z drugiem, ile że te dwa światy malarstwa i literatury w pustce warszawskiej ciągle się o siebie ocierają. Malarstwo prezentowało się wtedy dość pokaźnie. W roku 1840 znani byli w Warszawie tacy artyści, jak Kokular, Hadziewicz, Blank, Lampé, Piwarski, Głowacki, Smokowski, Dębicki. Poza Warszawą tworzyli: Stattler (Kraków), Wańkowicz, Damel, ale przedewszystkiem Piotr Michałowski, który—jak Szopen—uszedł z kraju. Żyły pozatem świeże tradycje Brodowskiego, Norblina, Orłowskiego. O tem, jaką rolę w warszawskim świecie artystycznym odgrywało malarstwo, świadczy wiersz Antoniego Czajkowskiego (największego przed Norwidem poety) p. t. „Towarzystwo sztuk pięknych". Wiersz ten nie pozostanie bez wpływu na Norwida („*Promethidion*") nawet w swej formie. Każdy utwór Czajkowskiego dla Norwida był ważny, niby złożenie broni w turnieju.

Otwarcie stałej wystawy sztuk pięknych (*Kunstverein* — jak mówiono) było wybitnem zdarzeniem. Zjechała na tę uroczystość szlachta z prowincji. Siedzą w restauracji Maryego panowie Wojciech, Adolf, Józef, Szymon i dyskutują na temat sztuki [5])

— Zwyczajnie—mówi p. Wojciech—człowiek, jadąc do Warszawy, idzie na teatr i inne zabawy, lubi resursę i, panie, zwyczajnie, cieszy się słysząc o tym *kunstvereinie*.

Na to p. Adolf:

— Zapewne, ale przyznam się otwarcie, że choćbym chętnie rzucił jakie wsparcie, choć lubię kunszta, przecież pomysł cały zda mi się bardzo słaby, niedojrzały — bo proszę, skąd tu o sztukach się marzy, gdy mamy ściennych zaledwo malarzy!

— Ja nie konesser, ależ bez obrazy Suchodolskiego piękne są obrazy... Wreszcie ja myślę, że jak w gospodarstwie, bez siejby żniwa nie będzie w malarstwie.

— Po chłopsku walisz — wtrąca p. Józef — ale walisz zdrowo. Niż w jedwab strojne, wolę proste słowo. Bo ono skromne, pozorem nie puszy, ani w niem trzeba gdzieś tam szukać duszy. Panie Wojciechu, co za myśl szczęśliwa: kunszta w wzajemne powiązać ogniwa, widzieć w Warszawie, co Zachód utwarza, jakaż to szkoła będzie dla malarza...

Od sąsiedniego stolika, od szampana wstał p. Szymon i wtrąca:

— ... wiem, że malarstwo wielu lubowników liczy, jak mi o tem powiadał mój wuj budowniczy. Siostra moja dość pięknie pędzlem włada, nawet między gmin miłość sztuki się zakrada. Powiem panu zdarzenie: właśnie wśród rozmowy angielskiej z hrabią patrzę, gdzie mój galonowy. Niema go. Aż mój stangret leci, szuka, woła i — *figurez vous* — iż go znalazł wśród kościoła u księży Bazyljanów, gdy się ten zachwyca cudnemi obrazami pędzla Smuglewicza...

Wreszcie następuje monolog p. Józefa, który należałoby przytoczyć w całości, bo jest tam cały rejestr cenionych wtedy w Warszawie malarzy zmarłych i żyjących, poczynając od Lexickiego, twórcy obrazu M. Boskiej. Jest tutaj Smuglewicz, Stachowicz, Stattler, który „pędzlem, jak laską Mojżesza, wywodząc zdrój religji, patrjarchów wskrzesza", jest Głowacki malarz Tatrów, Kolberg z Brodowskim (zapewne Józefem).

Norwid, jak nam już wiadomo, wszedł w ten świat przez pracownię Kokulara. Owionął go duch chłodnego pseudoklasycyzmu. Kokular, podobnie jak najwyżej ceniony, niedawno zmarły Antoni Brodowski, malował nie z natury, lecz z wyobraźni posągowe figury antyczne w operowych grupach: „Edyp i Antygona", „Perykles i Aspazja", „Umierający Priamus": ładne głowy, ładne ręce, nogi w sandałach, linje ciał pięknie wygięte. Były to szczyty sztuki, za takie uznane w tych czasach. Pseudoklasycyzm trzymał się dłużej w malarstwie, niż w poezji. Ale było już poglądem popularnym, który też wygłasza pan Józef Czajkowskiego, że malarstwo w Polsce ma przyszłość, ponieważ kraj jest malowniczy i ludzie są ładni, jest więc c o malować. Ale artyści już się spierali o to, j a k malować.

Świat malarski rozbił się na dwie grupy, raczej malowania i rysowania były już dwa rodzaje. Drugi szedł śladem Norblina i Orłowskiego, szukał rzeczywistości i prawdy w wyrazie, nie sromał się tematów powszednich, a nawet ludowych. Norwid spotkał się tutaj z Piwarskim. I podzielił się, probując obu rodzajów na zmianę. Jak widzimy jednak z dalszych prac jego, szkoła Kokulara, przynajmniej w wyborze tematów, bliższa mu była. W wydaniu Przesmyckiego dzieł Norwida, mamy wiele szkiców rysunkowych Norwida. Chronologję ich, zwłaszcza początkową, ustalimy według tego, jak oddalały się od Kokulara i Piwarskiego. Do tematów ludowych pociągała go literatura. O ile jednak żywsze są w barwie słowa Norwida, poświęcone ludowi, niż jego wyobrażenia plastyczne chłopka mazowieckiego stojącego w polu, czy siedzącego za stołem w karczmie według manjery Piwarskiego! Tkwi tam słodki i chłodny pseudoklasycyzm, pozbawiony nawet wdzięku idyllicznego, jakim tchnęły niegdyś figury Brodzińskiego lub ballady Mickiewicza. W każdym razie był to wielki przełom w konserwatywnym świecie sztuki, zbliżający ją do życia.

Norwid, początkujący malarz i literat zarazem, wystąpił w r. 1841 jako krytyk malarski i zdobył odrazu popularność w prasie. Widocznie nowe czasopismo, słysząc o jego wszechstronności, zachęciło go do pisania. Zamieścił mianowicie w „Bibljotece Warszawskiej" (marzec 1841) krótki artykulik, który dzisiaj nazwalibyśmy notatką dziennikarską, p. t. „Litkup na Pradze i porachunek z Wojciechem" z powodu wydanego wówczas sposobem litograficznym (u Oleszczyńskiego) rysunku J. F. Piwarskiego. Notatka ta, przedrukowana teraz w „Ruchu Literackim" [6]) zmieściła się w 22 wierszach. Treść dla nas dzisiejszych dość zdawkowa, ale wówczas była rewelacją. Autor podnosi wartość artystyczną rysunku, zaznaczając wpływ szkoły flamandzkiej, i chwali wytworność wykonania litograficznego. P. Tadeusz Makowiecki wynalazł, że ten artykulik przedrukował w kwietniu „Kurjer Warszawski", a „Echo" zamieściło o nim wzmiankę. Nie dość na tem, w zeszycie majowym „Bibljoteki Warszawskiej" ktoś podpisany W. Wrż. wystąpił z krytyką twierdzeń Norwida. Z powodu tych uwag krytycznych Norwid ogłosił w 3 zeszycie „Przeglądu Warszawskiego" replikę znacznie dłuższą, niż artykuł pierwotny.

Fakt ten rzuca światło na życie ówczesne w Warszawie, najwidoczniej z upragnieniem oczekujące na jakieś zdarzenie, o którem można byłoby pisać. Przyzwyczajeni dzisiaj do życia tłocznego i wartkiego, w którem wszelkie dzieła mijają

[5]) Cytuję ten utwór ze zbiorku „Poezje Antoniego Czajkowskiego", Warszawa, 1845.

[6]) Ob. Tadeusz Makowiecki: „Pierwsze artykuły Norwida". „Ruch Literacki", 1927, marzec, str. 75.

niezauważone w prasie, z ciekawością czytamy taki np. przypis od redakcji, dodany do artykułu Norwida w „Kurjerze Warszawskim“:

„W salonach znakomitych osób, gdy są zabawy wieczorne bez tańców, damy przez niejaki czas oglądają ryciny i rysunki lub malowania; chwile te są nader przyjemne, połączone z użytkiem, przyczem rozmowy bywają nader zajmujące. Od kilku tygodni — między rycinami“...

I tu mowa o Piwarskiego rysunku i o artykule Norwida.

3

Właśnie w tym czasie Norwid, zwolniwszy się z Heroldji, puścił się na turystykę po kraju z Wł. Wężykiem. Wycieczka ta nabrała w prasie wielkiego rozgłosu. Pisano o Norwidzie jako rysowniku, który opis podróży uświetni swym ołówkiem. Wężyk był osobistością w Warszawie popularną. Podziwiano ogólnie jego fantazję kawalerską, kiedy we wczesnej młodości rej wodził wśród cyganerji. Konie jego brały nagrody na wyścigach, wreszcie owa podróż do Egiptu stawiało go na wyżyny niezwykłych w społeczeństwie zjawisk [7]).

Jak dobry rezonans miały wszelkie poczynanie Norwida, świadczy korespondencja do jednego z dzienników poznańskich [8]). Pisano tam:

„Pan Władysław Wężyk z poetą Norwidem, który również niepospolitym jest rysownikiem, odbywają podróż malowniczą i naukową po Królestwie i potem zamyślają ją wydać“.

Oczekiwano tedy wielkich plonów. Norwid jednak wrócił z wyprawy z laurem nie malarskim, lecz poetyckim. Nie znamy zresztą samych plonów ani rysowniczych, ani literackich, znamy tylko laur Norwida. Nie doszło do opracowania wyników podróży, Norwid jedynie ułożył wiersz i ten po powrocie wygłosił w jednym z salonów warszawskich, mianowicie na niedzielnem przyjęciu u Leona hr. Łubieńskiego. O tym utworze, dotąd nie odnalezionym, wiemy z późniejszego wiersza Antoniego Czajkowskiego.

Był on na tym wieczorze literackim i słuchał uważnie. Być może na zebraniu zdawano sprawę z wycieczki, a wiersz Norwida był tylko okrasą, dość że Czajkowskiego uderzyła żywość obrazu w tym wierszu, tembardziej interesującym dla krakowianina, że była tam mowa i o Krakowie. Musiał to być przytem wiersz Norwida patrjotyczny i tem większe robił wrażenie w znużonem rozprawami filozoficznemi towarzystwie.

Pod urokiem recytacji Norwida — a Norwid bardzo pięknie deklamował — Czajkowski napisał poemat „Do Norwida“,[9]) w którym twórcę mianuje orłem. Jedną z głównych podstaw późniejszej sławy Norwida jest ów wiersz Czajkowskiego. Nie tylko po Warszawie rozeszła się chwała młodego poety, na emigracji wiedziano o nim i wiele na podstawie świadectwa Czajkowskiego po Norwidzie się spodziewano.

Czajkowski pisał:

„Orle, rodzime przemierzasz obszary,
Pijesz słońce, a nad ziemią
Dwa się twoje skrzydła cienią:
Skrzydła miłości i wiary.
Skrzydłem miłości w stare uderzyłeś dzieje,
A na skrzydle się zorzy szmaragdzą nadzieje“.

Z tego początku widać, że wiersz Norwida był niecenzuralny, nawet jego echo, ów wiersz Czajkowskiego, nie mogło się ukazać w Warszawie. Zapewne gdzieś utwór Norwida zniszczono w obawie następstw. Ton, wzięty w Krakowie, urywał się w Warszawie. A dalej:

„Ptaku ewangelisty, gdy ci nucić przyjdzie,
Gdy pierś twoja nabrzmieje ewangelji pieniem,
Ty nas poisz nadzieją, pamiątką, cierpieniem,
Orle Norwidzie“.

Dalej Czajkowski streszcza to, co go uderzyło w wykładzie o kraju i o ludzie u Norwida i tak kończy:

„Lecisz, pryskasz pod obłoki,
A jaskrawa uczuć pręga
Z ziemi w niebo pędzi wiry,
Jakby struny boskiej liry.
A ja, bracie, jako rzeka,
Co na piaskach spławu czeka“.[10])

Mamy w tem zjawisku literackiem próbkę turnieju salonowego dwu poetów. Czajkowski, jak widzimy, był pisarzem dużej kultury i wrażliwości literackiej. Umiał się wzruszać utworami i niewątpliwie sprzyjała mu atmosfera salonu. Słuchano wtedy poezji i na serjo traktowano wzruszenia poety. Czajkowski swój wiersz oczywiście też czytał w salonie Łubieńskich. Utwór jego ma cechy rycerskiego potykania się o lepsze. Szerokim gestem daje awanse współzawodnikowi, chyląc mu do stóp pióropusz, aby samemu zabłysnąć pokazem, co z tego samego tematu można zrobić w syntetycznem ujęciu.

Był to szczytowy moment popularności Norwida w towarzystwie warszawskiem. Ulubieńcem był dam, które, jak powiadano potem, psuły go pochlebstwami. Powodzenie pierwszej wycieczki zachęciło go do drugiej, na którą puścił się z Wężykiem w maju 1842 r. W pierwszej wycieczce, jak widać z treści poematu Czajkowskiego i z informacji Wężyka[11]), podróżni zwiedzili okolice Czarnolesia w Radomskiem, Sandomierskie, Świętokrzyskie, Ojców, Kraków. W Krakowie byli też i w roku 1842. Oczywiście Wężyk podróże te finansował, on też był w nich przewodnikiem i mistrzem Norwida. Musiał to być rozgarnięty i ze zmysłem rzeczywistości człowiek, skoro z krótkiej podróży na wschód tyle przywiózł, że jego dzieło podróżnicze uznano za najlepszą polską książkę o Egipcie[12]). Podróże z Wężykiem były dla Norwida czemś więcej, niż rozrywką i okazją poetyzowania, były szkołą. Wężyk uczył go bezpośredniości wrażeń poetyckich. Był to dla twórczości Norwida najszczęśliwszy okres, kiedy patrzył w lud, kiedy pisał takie rzeczy, jak „Do wieśniaczki“, kiedy podróżował po ziemi, nie po obłokach.

ZYGMUNT WASILEWSKI

[7]) Ob. artykuł Z. A. Morawskiego „Przyjaciel Norwida“ w „Tęczy“ nr. 46 z r. 1930. Tamże portret Wężyka.

[8]) „Orędownik“ 1841, nr. 44.

[9]) Wiersz ten ogłoszony był poraz pierwszy w „Tygodniku Literackim“ w r. 1843 nr. 4 (Poznań), a potem w „Słowie“ petersburskim z r. 1859, s. 144. Podany też jest w całości bez przypisku autora w t. IX „Sto lat myśli polskiej“, str. 51.

[10]) Przytaczam ze „Stu lat myśli polskiej“, t. IX, str. 51 — 53.

[11]) Por. Wład. Arcimowicz. „Ruch Literacki“, 1932, nr. 2. Tad. Makowiecki. „Młodzieńcze poglądy Norwida na sztukę“. Lwów, 1931, str. 60 — 62. „Rok“ 1843, II. 128.

[12]) Opinja prof. Bystronia w przedmowie do „Egiptu“. Kraków, 1930.

NA WIDOWNI

Cytat z Popławskiego. — Taktyka polityczna Żydów. — Nowe zjawiska — Jak je wytłumaczyć? — Mord we Lwowie. — Potrzeba wspólnego frontu.

JAN LUDWIK POPŁAWSKI, w rozprawie p. t. „Pochodzenie i istota syjonizmu“, drukowanej w r. 1902 w „Przeglądzie Wszechpolskim“ [1]), przypomina, iż żydzi, „jeśli obejmiemy całość dziejów sekty, przechodzą zawsze kolejno trzy fazy stosunku swego do społeczeństwa, w którem żyją“. Powołując się na rozprawę W. Ziemińskiego, ogłoszoną niegdyś w „Głosie“ warszawskim p. t. „Czem jest izrael?“, temi słowy te trzy wspomniane fazy charakteryzuje:

„W pierwszym okresie, sekta w postaci luźnych gromadek szuka przytułku wśród obcych. Gromadki te, złożone z rękodzielników i przekupniów, dzielą życie między spełnianie obrządków swej religji i zabiegi o kawałek chleba, nie biorąc udziału w życiu miejscowego społeczeństwa.

Po pewnym czasie sekta się rozrasta. Członkowie jej to kapitaliści, przedsiębiorcy, posiadacze nieruchomości, częstokroć dygnitarze. Biorą już oni udział w życiu społeczeństwa, które zamiast dawnego lekceważenia okazuje szacunek ich uzdolnieniom i poddaje się w wielu rzeczach ich kierownictwu.

W trzecim okresie sekta, silna potęgą materjalną i organizacją, ujawnia poczucie swej solidarności i wyższości nad otoczeniem, traktując je lekceważąco i narzucając mu swe przewodnictwo.

Równocześnie w społeczeństwie, w którem żydzi żyją, rośnie niezadowolenie z zależności ekonomicznej od nich i niechęć, która, podsycana coraz bezwzględniejszem ich postępowaniem, przeradza się w otwartą nieprzyjaźń, znajdującą wyraz w ograniczeniach prawnych i wybuchach nienawiści ludowej. Ostatnim momentem było dotychczas zawsze wywłaszczenie i wypędzenie sekty.

Obecnie żydzi w Europie znajdują się mniej więcej w połowie trzeciego okresu...“

*

Taktyka żydów w krajach cywilizacji europejskiej od długich lat nie posługiwała się systemem „akcji bezpośredniej“. Mając do rozporządzenia dwie siły: pieniądz i tajną organizację, przy ich pomocy usiłowali bądź wpływać na rządzących, bądź doprowadzać do władzy te grupy polityczne, które dla ich dążeń były dogodne. Zwłaszcza w epoce trjumfującego demokratyzmu, gdzie pieniądz i organizacja w tak wielkim stopniu stanowią o sile stronnictw, pozwalając im, w drodze kosztownej propagandy, narzucać tłumom pewne ideje, a także pewne jednostki na przywódców, cel tej taktyki zdawał się z dnia na dzień bliższy urzeczywistnienia. Nie żydzi sami przystępowali do zniszczenia swych nieprzyjaciół, czynić to miała w każdym narodzie własna organizacja państwowa, którą w swem ręku dzierżyłyby wszędzie ugrupowania, mniej lub więcej od żydów uzależnione. Plan odpowiadał psychice żydów, odpowiadał ich strukturze, jako społeczności, wykonanie wydawało się coraz bliższe, coraz łatwiejsze. Tembardziej zastanawiające są niektóre zjawiska w żydostwie w ciągu lat ostatnich, z tą taktyką nie harmonizujące zupełnie i jej wymaganiami nie dające się logicznie wytłumaczyć.

Od niejakiego czasu obserwować można u żydów objaw osobliwy: kult tężyzny fizycznej, siły muskułów, odwagi, a zatem tych wartości, które w narodzie, ceniącym przedewszystkiem mądrość rabiniczną, nabywaną nieustannem wertowaniem ksiąg i ich komentowaniem, przez wieki całe uchodziły za rzecz poślednią całkiem, godną lekceważenia, ordynarną. Moda na sport, naśladowanie pod tym względem społeczeństw europejskich, nie wyjaśnią tego ruchu masowego, który dociera aż w najdalsze zakamarki ghetta. Nazwy: „Makkabi“, „Hasmonea“, „Bar Kochba“ nie do sportowych bynajmniej wspomnień nawiązują. Zresztą zamiłowanie do gier sportowych, „duch sportowy“ nie zrodziły się w narodach europejskich ot, tak, z niczego... Wykształciły się one w ciągu wieków tradycyj rycerskich, współzawodnictwa, opartego na lojalnem dochowaniu przyjętych reguł, na szacunku dla przeciwnika, — w prostej linji dziedziczą obyczaje, sięgające średniowiecznych turniejów. Dla żydów, którzy tej spuścizny nie mają, istota sportu, jego zasady są czemś, przestrzeganem bez upodobania, z musu i z usiłowaniem ich obejścia, stąd właśnie tak często „mecze towarzyskie“ z klubami żydowskiemi kończą się awanturami na boisku.

To też nagły a powszechny entuzjazm dla krzepkości fizycznej, zadzierzystości, jurności, jaki w ostatnich latach opanowywać zaczął społeczeństwo żydowskie, jedno tylko znaleźć może uzasadnienie. Obserwując życie narodów europejskich, żydzi zdają się już wyczuwać, że pieniądz i tajna organizacja nie wystarczą, gdy przeciw nim zwraca się siła tak potężna, jak instynkt narodowy. W narodach europejskich pogłębia się zrozumienie sprawy żydowskiej, powstają młode, żywiołowe prądy, które tego zrozumienia są wyrazem i żydzi orjentują się, że dla przeciwstawienia się temu nie wystarczą siły nieżydowskie, choćby najbardziej finansowo i organizacyjnie uzależnione, że z żydowskiego punktu widzenia siły te nigdy nie są dość pewne, prędzej czy później bowiem musi odezwać się w nich głos krwi, głos solidarności plemiennej, nie pozwalający dłużej toczyć walki w imię interesów żydowskich przeciwko własnym rodakom. I obok dotychczasowej „akcji pośredniej“ gotuje się żydowstwo do „akcji bezpośredniej“, rozumiejąc być może, iż coraz szybciej zbliża się koniec „trzeciego okresu“, o którym pisał Popławski... Wystarczy choćby pobieżnie obserwować dzisiejsze życie żydowskie, by zauważyć, jak rozwijają się w niem różne sportowe, gimnastyczne, skautowe, ćwierć wojskowe organizacje młodzieży. Wystarczy wspomnieć, jaki zachwyt wśród najszerszych rzesz tłumu żydowskiego budzą dziś żydowscy siłacze i atleci (znamienny przed kilku laty był np. kult ulicy żydowskiej dla „nowego Samsona“ — Breitbarta). Prasa żydowska ustawicznie podsyca te nastroje. Trzeba czytać dzienniki syjonistyczne, jak rozpisują się o dzielności wojskowej żydów (legjon Żabotinskiego), o ich temperamencie bojowym, o tradycjach Machabejczyków i t. p., i trzeba zdawać sobie sprawę, jakie przy znanej, wschodniej pobudliwości żydostwa propaganda taka wywoływać musi wśród motłochu izraelskiego wrażenie. Dnia 10 z. m., w wigilję rocznicy zamordowania ś. p. Wacławskiego, syjonistyczny „Nasz Przegląd“ pisał wielkiemi literami: „Młodzież żydowska, godna tego miana, będzie się bronić. Synowie wielkiego narodu nie ulękną się...“ i t. d. Jak zaś żydzi rozumieją pojęcie „obrony“, niech świadczy w tymże „Naszym Przeglądzie“ podana w swoim czasie uchwała Związku studentów żydów w Nancy, gło-

[1]) Powtórzono ją w zbiorowem wydaniu „Pism politycznych“ Popławskiego, Kraków-Warszawa 1910, t. I, str. 245—263.

sząca, że Wulfin „bronił honoru żydowskiego przeciw napaściom antysemitów...“ [2])

*

„Gazeta Warszawska“, w numerze z dnia 28 listopada b. r., zamieściła wiadomość ze Lwowa, iż nocy uprzedniej, na ulicy Szajnochy, niejaki Mojżesz Katz

„...w brutalny sposób, zupełnie bezpodstawnie zaatakował akademika St. Pietraszko, studenta IV roku weterynarji. Pietraszko zareagował. Napastnik uderzył go w twarz. Zaatakowanemu pośpieszyli z pomocą koledzy. Wówczas Katz wraz z pomocnikami: Szulimem Kellerem i Nuchimem Szmarem, rzucili się na akademików z nożami. Mojżesz Katz ugodził nożem akademika Jana Grotkowskiego, studenta IV roku weterynarji. Cios był śmiertelny. Opryszek ugodził Grotkowskiego w łopatkę z taką siłą, iż bestjalskiem szarpnięciem w dół przeciął Grotkowskiemu płuco. Ciężko ranny stracił przytomność. Pogotowie ratunkowe zabrało konającego do samochodu. Po drodze zastosowano zastrzyk, ale gdy samochód stanął przed szpitalem, na noszach wniesiono już tylko trupa. Lekarz oświadczył, iż tak bestjalskiego ciosu jeszcze nie oglądał...“

*

Z głębokim bólem pochylamy głowy przed świeżą mogiłą. Oby ta krew przyśpieszyła jedność Polaków w obronie Polski przed obcemi i wrogiemi jej żywiołami.

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

NIEDAWNO SENAT UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO wypowiedział się w sprawie rządowego projektu „ograniczenia“ autonomji wyższych uczelni. Zdarzenie to pobudzić mogło do refleksji tych, co zastanawiają się nad istotą rozterki politycznej w Polsce. Senat wyraził zdanie krytyczne o projekcie. Nic w tem dziwnego. Profesorowie nie pochodzili jeszcze z mianowania ministra. Godne uwagi natomiast jest to, że wiadomy projekt potępiony został nie większością głosów, a jednomyślnie. Nawet profesorowie, sympatyzujący z obecnym *régime*'m, w głosowaniu kierowali się głębszą sympatją dla dobra instytucyj akademickich. Czy to nadzwyczajne? Czy istotnie bezpodstawne musi być przekonanie, że naród w gruncie rzeczy osiągnął większy stopień zjednoczenia, niżby można sądzić z wyświetlanego codzień w gazetach obrazu walk partyjnych? Czy istotnie głupstwem jest mniemać, że rozbijany jest sztucznie? Zważmy, że naród, który naprawdę rozdzieliłby się na grupy, postępujące wedle biegunowo sprzecznych programów, musiałby popaść w chroniczny stan wojny domowej i w rezultacie skończyć rozpadem. To też w żadnym narodzie europejskim z dłuższą tradycją ustrojową podział partyjny nie oznacza, że w społeczeństwie znajdują zwolenników naprawdę sprzeczne programy polityczne. Oznacza on, że rywalizują bardzo podobne. Rzeczą djalektyki partyjnej jest oczywiście zacierać podobieństwa, zaostrzać natomiast różnice. Jest to jednak źródłem dużej siły dla kraju, jeśli powszechna jest, nawet w życiu politycznem, świadomość, że jest coś nierealnego w tem wyolbrzymieniu różnic, bo w sprawach ważnych wystąpi rozstrzygająco fakt jedności narodowej. — A u nas? Tradycje polityczne są bez porównia nikłejsze. Czy możliwe, żeby dzisiejszy *régime* maskował nawet tę niedoskonałą jedność narodową, jaką osiągnęliśmy mimo braku stałych instytucyj w życiu publicznem? Czy natężenie walk wewnętrznych w Polsce jest najsilniejsze, gdy właśnie różnice programów partyjnych, wystawionych na próbę życia, znacznie się zmniejszyły? Im lepiej wpatrzymy się w polską rzeczywistość, tem mocniej rzuci się w oczy, że warunki dzisiejsze życia publicznego nie odpowiadają nawet tym skromnym postępom, jakie zrobiliśmy od chwili odzyskania niepodległości. Od kilku lat utrzymywane jest w Polsce prowizorjum, jakbyśmy w samej rzeczy rozbici byli beznadziejnie i sztucznie zachowywali pozór, żeśmy jednym narodem. Zgodność opinji na uniwersytetach, gdy chodzi o obronę jednego z tradycyjnych dóbr cywilizacji polskiej, uwydatnia, że i w naszem życiu realny jest czynnik jedności narodowej, i że obce jest to, co jedność tę sztucznie zakłóca.

SENAT RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ święcił swoją uroczystość: obchodził dziesięciolecie. Ściślej: święciła tę uroczystość prasa. Także szereg pism sanacyjnych poświęcił jubileuszowi izby artykuły specjalne. Przy tej sposobności wyszła na jaw rzecz jedna, w gruncie rzeczy nie tak dziwna, jakby się zdawało. Tak krótka, dziesięcioletnia, egzystencja senatu w Polsce odrodzonej, okazała się już okresem zbyt długim, żeby go spamiętać... Takie mamy dziś warunki do widzenia rzeczy we właściwej perspektywie historycznej. Historja dziesięciu lat już jest za długa... Tak jakoś się stało, że dzieje izby wyższej symbolizowała na łamach pism sanacyjnych fotografja najświeższego marszałka tej izby, p. Raczkiewicza. Jak wspomnieliśmy, uroczystość święciła prasa: senatorowie nie uczcili jej żadnym obchodem. Trudno to zrozumieć. Czyżby nie mogli się zdobyć na wystąpienie zbiorowe? Czy może nie było grupy dość licznej i sprężystej w działaniu, żeby podjąć trud należytego zorganizowania obchodu? Ależ Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem zagarnął prawie wszystkie miejsca w senacie; a nikt tej armji nie mógłby zarzucić zdolności do zbiorowego wstawania i poruszania się, jak na komendę. Czyżby poprostu zabrakło w największym klubie inicjatywy do obchodu rocznicy? Czyżby—to myśl już wprost dzika — senatorowie z B. B. W. R. nie kwapili się z udziałem w świecie wspomnień, bo wszyscy prawie byli przed dziesięciu laty za jednoizbowością?

RADYKALIZM SPOŁECZNY MŁODYCH SANATORÓW, na który zwrócił niedawno uwagę prof. Rybarski, a który nabiera zabarwienia pół-komunistycznego, wywołuje zakłopotanie starszyzny „legjonowej“. Pan W. Stpiczyński pociesza się w „Kurjerze Porannym“ uwagą, że młodzież narodowa też jest radykalna społecznie, bo nie staje w obronie świata wielko — kapitalistycznego. Naiwna to pociecha. Radykalizm narodowy nie ma nic wspólnego z radykalizmem naszych sanatorów. Ci ostatni, idąc drogą najmniejszego oporu, nie szukają własnych rozwiązań: wystarcza im płytko ujęta doktryna Marxa i Lenina, doktryna, której życie zadało kłam, a zmysł moralny ją osądził. Chcą rozwiązać zagadnienie w tej samej płaszczyźnie, w której je postawił kapitalizm: w płaszczyźnie interesów materjalnych, a zmienić jedynie technikę: zamiast wolnej gry interesów, ich przymusowe kontyngentowanie. Widzą zło w prywatnej własności, zamiast je widzieć w zjawisku proletarjatu, t. zn. wielkiej

[2]) Patrz „Wstęga“ nr. 2 z listopada r. b.

rzeszy ludzi ubogich, pozbawionych własnego warsztatu pracy i wplecionych w tryby olbrzymiej machiny produkcyjnej. A przecież robotnikowi nie będzie lepiej, jeśli wyciskająca jego pot fabryka będzie państwową, nie prywatną.

Radykalizm młodzieży narodowej idzie w zupełnie różnym kierunku. Widząc zło nie w ustroju prywatnej własności, lecz w jego wypaczeniu, za jaki uważa okres wielkokapitalistyczny w dziejach Europy (w. XIX), rzuca hasło nie znoszenia lecz upowszechnienia własności, powrotu do małych warsztatów produkcyjnych, które, niedawno jeszcze zanikające, dziś, wobec upadku handlu międzynarodowego, zamykania się granic celnych i hasła samowystarczalności — mogą i powinny odegrać wielką rolę. Kierunek ten pojawił się nietylko w Polsce: w Anglji np. głosi go od lat znakomity pisarz katolicki Chesterton. Tylko symplistyczne umysły nie umieją wybrnąć poza dylemat: wielki kapitalizm — socjalizm.

„Z ARTYKUŁU PIERWSZEJ POTRZEBY STAŁA SIĘ ONA TOWAREM...“ Dobrze to brzmi. Lecz dokończmy, bo nie na tem słowie urwał minister. Dodał: „luksusowym“. Co stało się towarem? Sztuka. Jaki minister to mówił? Oczywiście: oświaty. Przyjemnie jest, kiedy odpowiedzialni mężowie trafią we właściwy ton. Zacytowaną myśl min. Jędrzejewicza wyjmujemy z przemówienia, wygłoszonego w Krakowie na zjeździe związku literatów polskich (powtarzamy za wyciągiem w „Gazecie Polskiej“ z 29.XI). Lekkomyślnie byłoby, folgując jakiemuś dziwnemu impulsowi asocjacyj, przypominać, jak to uczeń—żydek streszczał IV część „Dziadów“ Mickiewicza: „Gustaw wchodzi, ubrany w kawałki towaru“.., Myśl ministra, która tak zręcznie odziała się w stosowne słowa, miała swoje uzasadnienie. Miarę jej słuszności zaobserwować możemy na przykładach życiowych. I.P.S. np.—wiemy, co to jest; słowo oznacza dziś kawiarnię. Właściwie trudno tu mówić o wyrugowaniu sztuki przez komercjalizm. Instytut Propagandy nie jest oczywiście tem samem, co Instytut Sztuki. Propagandę prowadzić można znakomicie przy białej kawie, traktując samo np. malarstwo jako coś akcesoryjnego. Dla propagandy udzielić można za witryną gościny „Wiadomościom Literackim“, choćby propaganda nabierała wtedy nader specyficznego charakteru. Może też te „kawałki towaru“, aczkolwiek w danem miejscu mogące sprawić niespodziankę umysłom, nie nastrojonym na górny ton przemówień ministerjalnych, innych nie zdziwią tak serjo. Ale i z pośród orjentujących się w charakterze miejsca, niejednego zaskoczyć mógł gatunek towaru, sprzedawanego w I. P. S.-ie w ostatnią sobotę. Spory zastęp publiczności, żądnej słowa francuskiego, nabył bilety na prelekcję znanego krytyka George'a na temat „Kryzysu człowieka“. Mało kto zauważył podaną przez niektóre pisma wzmiankę, że prelegent przelotnie bawi w Warszawie, skąd jest rodem. Wzmiankę nieścisłą zresztą, bo jak się okazało, nie z Warszawy, a właśnie z Łodzi. Publiczność poczuła się zawiedziona, znalazłszy się na prelekcji tak reprezentatywnego Francuza. Znany malarz Kanarek zaprotestował nawet publicznie przeciwko francuszczyźnie odczytu. Istotnie, nie miała sensu: lecz co do nas, wolelibyśmy odczyt żargonowy, niż polski, jeśli już gość z ghetta musiał mówić.

NAUKA I LITERATURA

POLACY I MORZE

ROZGADAŁA się równinna Polska o morzu, zarówno prozą i rymami. Jakby nagrodzić chce tylowieczne zaniedbanie! Jakby odrobić sądy ugruntowanej tradycją opinji szlacheckiej, głuchej na Solikowskich, pochlebnie słuchającej Rejów. Teoretykom „duszy lądowej“ Polaków, wspieranym powagą Żeromskiego, przeciwtawia się dziś organizowany troskliwie pogląd morski. Z wiarą, że można jeszcze zerwać z sumą narastających latami zaległości historycznych, myśl polska już nie w step, ale iść pragnie na morze.

Wśród wezwań, apelów, programów, rozlegających się z różnych stron dookoła, nietrudno o słowa, które znaczą niewiele, o truizm, treść mało ważną, pustą. Przyszła na sprawy te moda. Mówimy chętnie „polskie morze“, jak mówimy „polska wieś“.

Słuchając owych głosów, niezawsze pogłębionych i wpełni odpowiedzialnych, nawołujących dziś ku Bałtykowi, dobrze jest stanąć na gruncie faktów: zobaczyć zagadnienie w perspektywie historycznej, przy pomocy prof. Kazimierza Tymienieckiego z Poznania, autora rozprawy: „Dziejowej stosunek Polaków do morza“.

Analiza naukowa materjału, ale także dyspozycyj psychicznych narodu nie pozwala oczywiście na wniosek nieoczekiwany, że jesteśmy narodem morskim. Stan, jaki się urobił, ów negatywny font wobec Bałtyku na przestrzeni lat Rzeczypospolitej szlacheckiej, jest słowami autora „wytworem głównie przebiegu samej historji“. Niemniej przeto, w niektórych momentach dziejów, zachodziły możliwości odmienne Politykę morską dyktowało pobliże geograficzne, przewalał się tędy, Bałtykiem, wielki splot zagadnień historycznych, w których nie byliśmy statystami.

Zarys prof. Tymienieckiego ma właśnie na celu analizę momentów owej pomyślnej konjunktury. W kolei wieków polska polityka morska podlegała różnorodnym wahaniom. „Właściwą kulturę morską wytworzyli jedynie w zaraniu dziejowem nasi przodkowie Słowianie, niedość ściśle zresztą związani z głębszym kontynentem“. Uczony badacz „Społeczeństwa Słowian lechickich“ zatrzymuje na tej kulturze ciekawą uwagę czytelnika. Przewija się dalej pasmo następnych wydarzeń nad Bałtykiem, od Mieszków aż po epokę rozbiorową. Uzyskane tutaj sukcesy lub zawody polityczne wiążą się w ścisłej korelacji ze wzrostem sił całego narodu, warunkujących „aktywność polską na wybrzeżu“.

Konkluzje tych rozważań otwierają interesujące perspektywy na przyszłość. Autor cytuje aforystyczny sąd prof. Bujaka: Główna siła kultur morskich leży nie w masie, lecz w ruchu. Stwierdzenie to wyzwala z pogranicza historji i filozofji narodów szereg treści i zagadnień kulturalnych, które towarzyszą czytelnikowi już po odłożeniu książeczki.

Praca prof. Tymienieckiego czytana być musi przez wrzystkich — z uwagi na pedagogiczny swój charakter. Zaleca się nietylko rzetelną informacją historyczną, streszczającą wiedzę o przeszłości miary niepospolitej, ale także szerszym poglądem ogólnym, który wyróżnia umysłowość badacza, autora ważnej rozprawy „Cechy moralne narodu jako wynik historji“. Pełne objektywizmu przedstawienie wolne jest od aktualnej tendencji politycznej.

Rozprawa wygłoszona była w Gdyni, w cyklu odczytów Instytutu Bałtyckiego: „Światopogląd morski“. Dziś ukazuje się drukiem, służąc tej samej sprawie.

T. M.

Z ŻYCIA NAUKOWEGO I LITERACKIEGO.

Rocznica śmierci St. Wyspiańskiego zaznaczyła się w prasie (n-ry niedzielne z 27 listopada) szeregiem artykułów i przyczynków biograficznych. Bogate n-ry

dały: „Kurjer Poznański", „Czas", „Gazeta Warszawska", „ABC", „Gazeta Polska". Z tygodników jeden tylko „Myśl Narodowa" cały tekst poświęciła Wyspiańskiemu. Zeszyt ten cieszy się wielką poczytnością, co się wypowiada w listach, wyrażających redakcji uznanie. Syntetycznych oświetleń w tej dużej fali artykułów znajdujemy bardzo mało. Plon ten ma przedewszystkiem tę wartość, że pisarze i artyści, którzy znali Wyspiańskiego, utrwalili drukiem swoje wspomnienia, mające nieraz wartość biograficzną.

Uroczystości w Poznaniu i Krakowie odbyły się według zapowiedzianego programu. Oczywiście w Krakowie nie obyło się bez humorystyki sanacyjnej (przemówienie przez radjo p. Kaden-Bandrowskiego). Okazale wystąpiła też Łódź. Warszawa niczem (poza prasą) rocznicy nie zaznaczyła.

*

W d. 25 listopada Warszawskie Tow. Naukowe święciło potrójną uroczystość. Upłynęło właśnie 25 lat od założenia Towarzystwa. Powtóre, zebranie uroczyste, z tego powodu urządzone mogło się odbyć w pięknej sali kolumnowej pałacu Staszica, po raz pierwszy po odbudowie gmachu otwartej. Po trzecie, nastąpiło uroczyste otwarcie Muzeum Archeologicznego Tow. im. Erazma Majewskiego. Piękne to zebranie odbyło się w stulecie faktu historycznego, jakim było zamknięcie Tow. Przyjaciół Nauk i skonfiskowanie gmachu Staszica przez rząd rosyjski w r. 1832.

Uroczyste zebranie otworzył mową obecny prezes Tow., znakomity uczony prof. Wacław Sierpiński. On też uczcił swego poprzednika na stanowisku prezesa, prof. Kazim. Żórawskiego, wręczając mu medal, odbity na upamiętnienie odbudowy gmachu, z podobizną zasłużonego prezesa. Odczyty naukowe wygłosili: prof. M. T. Huber pt. „Twórczość naukowa a wynalazczość techniczna w świetle nowych zdobyczy nauk matematyczno-przyrodniczych", oraz prof. W. Tatarkiewicz: „Pałac Staszica a klasycyzm w Polsce".

Przedmiotem podziwu było wspaniałe Muzeum im. E. Majewskiego, obejmujące kilkadziesiąt tysięcy okazów w stu kilkudziesięciu szafach, skatalogowane i otwarte dla publiczności. Był to zarazem hołd, złożony niezapomnianemu badaczowi Majewskiemu, który zmarł właśnie dziesięć lat temu 14 listopada 1922 r.

Otwarcia dokonał obecny na zebraniu Prezydent Rzplitej. Z okazji tej uroczystości Tow. Naukowe wydało książkę, zawierającą dzieje T-wa i bibljografję prac wydanych.

*

Prof. uniw. Jagiellońskiego Władysław Konopczyński pracuje obecnie nad dziełem o Konfederacji Barskiej. Praca ma się ku końcowi.

*

Prof. Konrad Górski na uniw. Warszawskim wykładać będzie, poczynając od 15 stycznia r. p. przez oba trimestry (zimowy i wiosenny) o twórczości Jana Kasprowicza. Wykłady te odbywać się będą raz na tydzień w czwartek.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Prof. Roman Rybarski, prezes parlamentarnego Klubu Narodowego, wydał z wiosną br. książkę p. t.: „Przyszłość gospodarcza świata". Obecnie wyszła jego nowa praca p. t. „Wielickie żupy solne w latach 1494 — 1594". Praca ta, licząca 231 stron, opiera się na źródłach archiwalnych, zawartych przedewszystkiem w archiwum Muzeum Czartoryskich w Krakowie. W najbliższym czasie ukaże się druga część pracy o położeniu gospodarczem, w odniesieniu do stosunków polskich. Książka wyjdzie niebawem p. t. „Przyszłość gospodarcza Polski". Prof. Rybarski zdobywa rekord pracowitości i niespożytości sił.

*

Któż w Polsce nie zwiedzał Wieliczki lub nie słyszał legend o jej podziemiach, drążonych od prawieku. Znamy poezję i pejzaż wielicki, ale nie zastanawiamy się, że to było i jest wielkie gospodarstwo, z którego dochody stanowiły w dawnych czasach główną podstawę skarbu Rzpitej. Jakie były rozmiary tej gospodarki, metody, dochody i wydatki, o tem po raz pierwszy na podstawie ksiąg rachunkowych dowiadujemy się z wydanego teraz dzieła prof. Romana Rybarskiego p. t. „Wielickie żupy solne w latach 1494 — 1594" (Warsz. 1932. Do nabycia we wszystkich księgarniach).

Miłe są legendy, ale rozkosz prawdziwą sprawia taka sposobność rzeczowego zetknięcia się z prawdą. Niestrudzony ekonomista sam w drodze pracy historycznej nad archiwami toruje sobie drogę, aby zdobyć materjał do wniosków naukowych w dziedzinie skarbowości. Historja żup wielickich — to główny rozdział dziejów finasowych Polski." W Wieliczce pracowało w XVI wieku tysiąc górników. Sól stanowiła główny artykuł wywozu z Polski.

Znaczną część książki zajmują tablice, któremi rozkoszować się będzie każdy, umiejący orjentować się w cyfrach. Tekst jednak dzieła, zawierający studjum historyczne, nadzwyczaj jasno rzecz wykładający, czytamy z takiem zajęciem, jak dawniej słuchaliśmy o cudach wielickich. Ileż tam rzeczy zupełnie nam dotąd nieznanych, poczynając od ekonomiki polskiej, kończąc na obyczajach i słownictwie!

Rzecz podzielona na rozdziały: 1) Źródła pracy i jej zakres, 2) Wielickie góry (komory) i praca nad rąbaniem soli, 3) Transport soli na powierzchnię, obsługa szybów, i różni pracownicy, 4) Konie, uprząż i wyżywienie koni, 5) Surowce i różne materjały, 6) Odbudowa i roboty w „górach", 7) Warzelnia soli, 8) Dostawa soli do warzelni, 9) Kuchnia żupna, 10) Zarząd żupy, 11) Sól domowa, 12) Dochody soli, 13) Charakterystyka gospodarcza, 14) Wyniki finansowe itd.

Książka interesująca nietylko dla finansistów, ale i dla górników, chciałoby się powiedzieć: dla wszystkich konsumentów soli.

*

Pracownia Dr. Józefa Birkenmajera zdaje się być przewszystkiem pracownią naukową, Wybitny filolog, o doskonałem przygotowaniu klasycznym, ustala w szeregu prac i artykułów związki naszej myśli literackiej z antykiem. Gruntowna znajomość literatury patrystycznej oraz zagadnień biblijnych pozwala Birkenmajerowi na ocenę ważnych filjacyj kulturalnych i w tej dziedzinie. Z zainteresowaniem śledzić można wielokierunkowość tych badań. Birkenmajer nie ma „własnej epoki". Prace o Reju i Kochanowskim, studjum o losach pozgonnych Bolesława Chrobrego świadczą o dużej swobodzie, z jaką porusza się autor na terenie kompleksów kulturalnych staropolszczyzny. W latach romantycznych powraca badacz szczególnie chętnie do Słowackiego. Wiadomo oddawna, że pracuje nad Sienkiewiczem, monografję ową zapowiada szereg ogłoszonych dotychczas szkiców pomniejszych, które — choć w rozproszeniu — ważą już w studjach nad autorem „*Qwo vadis*". Ku strapieniu bibljografa, roczniki pism naukowych pełne są artykułów, rozpraw, przyczynków, sygnowanych nazwiskiem J. Birkenmajera, uderzających szeroką skalą zainteresowań i erudycją.

Porzucając *negotia* historyczne, chętnie przenosi się antor nietylko w dziedzinę współczesnej krytyki literackiej, ale także twórczości własnej. Dobre imię utalentowanego tłumacza o dużym smaku i kulturze zyskały mu przekłady, niemal wyłącznie z literatury anglo-saskiej. Celował wśród nich zaletami pióra „Kim" R. Kiplinga.

Te to właśnie wczasy literackie przywiodły Birkenmajera do poezji. Tomik ostatni, niedawno ogłoszony p. t. „Wycieczka", jest, słowami autora, wędrówką serdeczną „w lata szczęśliwsze i młodsze". Oto tworzywo tych wierszy: sprawy, do których się wraca na jakimś zakręcie życia, — wspomnienia dalekie i bliskie, odsunięte na odległość dłoni, pozdrawiającej tamte czasy. Tłem owych przypomnień jest Kraków, ukazany z ciepłym sentymentem, wieża Marjacka, „najpiękniejsza w świecie", ulica Podzamcze z domami o numerach parzystych. „A z nieparzystej strony było niebo".

Zarysy rodzinnego miasta służą dobrze nakreśleniu drogich portretów: głowy ojca poety, znakomitego uczonego, matki i wszystkich jej wzruszeń — niepokojów (wiersz wstępny, odznaczony pierwszą nagrodą na konkursie w Krakowie), brata, potem krąg się rozszerza na rozmaite wydarzenia dziecięce, błahe, ale jakże skomplikowane; to życie. Aż wchodzą w nie sprawy ważne, nowe: wojna, śmierć — śmierć przyjaciela, „Jasia ze Śląska". Czytelnicy „Myśli" pamiętają niewątpliwie ten wiersz, poświęcony pamięci poległego w obronie Śląska, w r. 1921 ś. p. por. J. Surżyckiego. Wystarczy porównać oba teksty: z „Myśli" i ze zbiorku, by dostrzec pracę artystyczną, kontrolującą słowo poetyckie.

Ale nie to w cyklu Birkenmajera uderza najbardziej, ujmuje na tych kartach szczególnie — serdeczna i bezpośrednia prostota odczuwania, niepodejrzana w wyrazie swym szczerości. Jest oczywiście tak, jak powiedział Norwid: „Poetą się nie jest, poetą się bywa". (T. M.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Wielki sezon nagród literackich we Francji rozpoczyna się już w listopadzie, jakkolwiek dwie główne, a mianowicie „*Femina*" i „*Prix Goncourt*" przyznawane są dopiero w grudniu. Obecnie jednak już wypowiedziało się *jury* „Nagrody pierwszej powieści", zorganizowanej przez „*La Revue Hebdomadaire*", a przyznanej p. Roger Breuil za jego manuskrypt „*Traduit de l'americain*". Nie potrzeba dodawać, że powieść ta ukaże się na łamach powyższego tygodnika. Nagroda *Gringoe*" utworzona znowuż przez ten tygodnik literacki,

została przyznana dziennikarzowi Gerville-Réache i jego współpracownikowi Mathieu za ich niezmiernie ciekawy reportaż „*L'Enfer du Sel*".

Trzecia wreszcie z rzędu nagroda „Lasserre", najstarsza zresztą wiekiem i najpoważniejsza, przypadła braciom Marius-Ary-Leblond za całość ich dzieła. Autorzy ci są zbyt dobrze w Polsce znani, zarówno jako powieściopisarze jak i ze swoich sympatyj do Polski, by trzeba było rozpisywać się nad ich działalnością literacką i obywatelską zarazem. Przypomnijmy tylko, iż bracia Leblond są także laureatami nagrody Goncourt za ich pracę piękną „*En France*".

*

Znany badacz literatury francuskiej, Pierre Moreau, wydał książkę p. t. „*Le Romantisme*", która stanowi VIII-y tom wielkiej „Historji Literatury francuskiej", wychodzącej pod kierunkiem I. Calvet'a. Książkę tę otwiera studjum o Chateaubriandzie, następnie autor bada literaturę Cesarstwa oraz Restauracji, wreszcie okres właściwego romantyzmu, rozpoczynający się z rokiem 1830. Rzecz ta ujmuje całość ruchu romantycznego we Francji w obraz pełen życia i barwy, nieprzeładowany drobiazgami zbytecznemi, dający dokładne wyobrażenie o prądach ideowych oraz ludziach tej epoki. (W. J.)

*

Bracia J. J. Tharaud, którym współczesna literatura francuska zawdzięcza sporo dzieł niemałej wartości — między innemi prześliczną książkę, poświęconą pamięci wielkiego poety, Ch. Pêguy („*Notre Cher Pêguy*"), który poległ w wojnie śmiercią bohaterską — wydali świeżo powieść p. t. „*Les Bien-Aimées*", którą krytyka francuska stawia obok największych romansów psychologicznych. Czytając tę powieść, gdy wychodziła w tygodniku „*Candide*", podziwialiśmy w istocie subtelną analizę uczuć głównego bohatera utworu, mieliśmy jednak wrażenie, że utalentowani bracia cokolwiek zazdroszczą laurów Proust'owi, w gruncie rzeczy, chociaż jest on znakomitym analitykiem, autorowi dość nudnemu, gdyż pozbawionemu żywej wyobraźni. (W. J.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

JEDNOCZEŚNIE z odsłonięciem pomnika poległych lotników na placu Unji Lubelskiej, otwarto w IPSie wystawę rzeźb jego autora, Edwarda Wittiga. Pomnik, aczkolwiek ustawiony w fatalnem i najmniej odpowiedniem do tego miejscu, wywiera wrażenie; zwraca uwagę przedewszystkiem wyczutą w wyrazie sylwetą. Należy bezwątpienia do najudatniejszych dzieł rzeźbiarza. Nie dorównują mu przeważnie poziomem prace zgromadzone na wystawie. Niedostaje im często wyrazu, a bez niego bryła, rozwiązana nawet szczęśliwie i po rzeźbiarsku, staje się tworem, na który możemy się zgodzić, nie nawiązując z nim jednak żadnego stosunku uczuciowego. Wśród tak ujętych dzieł zdarzają się także utwory słabe i pod wzgędem rozwiązania formalnego, że wymienimy bodaj biust marszałka Piłsudskiego, lub „Umierającego ryczerza" postać nudnie upozowaną i niczem nie przekonywająca. Do mniej udanych rzeźb zaliczyć również wypadnie studja aktów o niedostatecznie przemyślanej formie nieraz bez potrzeby notującej nieistotne przypadkowości natury. Zato wyróżnia się bronz „Ewa", piękny w linji kompozycyjnej, prosty i zwarty w budowie bryły. Rzeźba ta znana jest szerszej publiczności z parku Paderewskiego. Szlachetną prostotę i spokój, tchnący duchem klasycznym posiadają rzeźby: „Portret hr. B." i marmur „Pax".

W traktowaniu formy rzeźbiarskiej Wittig nie wyłamuje się z ogólnie dziś przyjętych pojęć o bryle i jej syntetycznem upraszczaniu.

*

Równocześnie z Wittigiem, wystąpił w IPSie ze zbiorową wystawą swych obrazów Tytus Czyżewski. Zasadniczym, a zarazem jedynym, choć bardzo ważkim, walorem malarstwa Czyżewskiego jest wyjątkowa świetność kolorystyczna jego płócien, o czem mieliśmy już sposobność pisać na tem miejscu. Ta świetność, polegająca nie na przepychu i bogactwie, rzucającem się w oczy, tylko na pogłębionej zdolności wczuwania się w świat barwy i różniczkowania jej efektów, została jeszcze w pracach ostatnich rozszerzona. Ponieważ stosunek do barwy opierać się musi na jej wyczuciu i nie da się wyprowadzić jedynie z przesłanek rozumowych, jak to na upartego możnaby robić z kompozycją obrazu i budową kształtu, przeto musimy zaliczyć Czyżewskiego do kategorji artystów-uczuciowców, a nie intelektualistów. Dlatego też wcześniejsze obrazy artysty z lat 1919 —1925, oparte na innych założeniach, powstałe przy wybitnym udziale intelektu ustępują pracom późniejszym i obecnym.

Kolor — to w sztuce dużo, w malarstwie jeszcze więcej, ale i tu i tam bynajmniej nie wszystko. A pozatem można być złym malarzem, a dobrym artystą i odwrotnie. Czyżewski, zajmując się wyłącznie zagadnieniami kolorystycznemi, umieszcza przytem często w swych obrazach złożone kształty, zaczerpnięte z natury (np. postać ludzka), nie ujawniając jednocześnie do nich żadnego stosunku, poprosty „puszczając" je rysunkowo. To jest niekonsekwencja. Nawet gdy się zgodzimy na tezę, że kolor w malarstwie wystarcza (bez rysunku, kompozycji, indywidualnego ujęcia odtwarzanej rzeczywistości i t. d.), nie będziemy mogli przyznać Czyżewskiemu tak wysokiej rangi w hierarchji artystycznej, jaką go nagwałt obdarza pewna grupa naszych artystów i nieartystów . Żeby na nią zasłużyć musiałby dać Czyżewski nowe kolorystycznie widzenie rzeczywistości, jak np. impresjoniści w stosunku do swych poprzedników, lub Cézanne w stosunku do impresjonistów. To, co widzimy u Czyżewskiego jest odmianą, walorów istniejących, różnicą, odchyleniem pogłębieniem wreszcie, ale nie nowem podejściem, nie rewolucją barwnej interpretacji rzeczywistości. Z tego też względu nie może być mowy o „zapoznaniu" artysty, insynuacji coś niby w rodzaju: prawdziwy talent, nigdy nie jest uznany za życia i t. p. 90 procent artystów, a wśród nich kulturalni i utalentowani, nie pojmują malarstwa Czyżewskiego, tak jak grupka jego wielbicieli. Nie dlatego bynajmniej, aby nie dostrzegali w niem wartości, które kiedyś dopiero, po latach wszyscy zobaczą, ale dlatego, że z tytułu tylko tych wartości, właśnie dostrzeganych, umieszczają malarza, w hierarchji talentów, znacznie niżej, niż tego pragną jego bezwzględni wyznawcy. A to jest różnica.

WIKTOR PODOSKI

ZMARLI

Ś. P. MAURYCY MANN

W Warszawie 28 listopada zmarł nagle w 52-im roku życia profesor literatury na uniwertytecie warszawskim, dr. fil. Maurycy Mann.

Urodzony w r. 1880 w Warszawie, ukończył tutaj 2-gie gimn. filologiczne, a w r. 1905 wydział filozoficzny uniwersytetu krakowskiego, poczem przez dwa lata studjował we Francji. W r. 1907 uzyskał stopień doktora fil. na uniwersytecie jagiellońskim, gdzie w 4 lata później został habilitowany za rozprawę z dziedziny historji literatury powszechnej „Rozwój syntezy literackiej". W roku 1919 mianowany został profesorem nadzw. filologji romańskiej na uniwersytecie warszawskim.

Pozostawił wiele prac z zakresu historji współczesnej literatury włoskiej i francuskiej.

Był członkiem komisji literackiej Akademji umiejętności, a od r. 1919 członkiem rzeczywistym Warszawskiego Tow. naukowego.

FILM

CASINO: „Sto Metrów miłości".

W tym filmie mniejszość jest w większości.

Gra tu naród wybrany... z „Bandy". Pomysłów prawdziwie kinowych na lekarstwo, zato mnóstwo gadaniny i „szmoncesów". Trudno uważać „szmoncesy" za tworzywo filmowe, a pozatem dowcipuszki, które tutaj słyszymy, nawet niezależnie od ekranu, niezawsze posiadają konieczną do rozśmieszenia dozę komizmu. Miała to być komedja sportowa, a jest — farsa szmoncesowa. Wdzięczny dla komedji filmowej teren sportu nie został należycie wyzyskany. Dymsza w filmach obcych stałby się ich okrasą, u nas sam, lenistwa innych (reżysera i scenarzysty) nie zatuszuje. Pogorzelska mniej krzykliwa, niż zwykle, ale i mniej wyraźna. Zdjęcia — jedyna zaleta krajowych filmów — dobre. Piosenki — Dana.

ATLANTIC „Bezdomni" reż. Mikołaj Ekk. Ten film sowiecki ma wiele cech wspólnych z innemi dziełami reżyserów rosyjskich; przedewszystkiem operowanie grą zespołową, bez wysuwania aktora na pierwszoplanowe popisy z kabotyńską „głębią przeżyć". Bohaterem jest gromada rosyjskich dzieci — włóczęgów, napoły zdziczałych, bezdomnych. A tematem ich powrót do życia ludzkiego, przez pracę. Czy pedagog uzna za słuszną metodę wychowawczą, ukazaną z ekranu? Czy prawda, ujawniona na filmie, zwyciężyłaby i w życiu? Nie wiem, nie jestem pedagogiem. Wiem jedno: wobec prawdy, żywiołowej szczerości, entuzjazmu, któremi ciska w nas ten film, blednie i schodzi na drugi plan prawda rzeczywistości. Możebym sobie i mówił: pokazujecie, jak z wilcząt ludzi się można dochować, a tymczasem wiemy wszyscy, że tam u was... Ale gdy widzę, jak w takt chóru rzeźkich i młodych głosów śmigają łopaty z ziemią pod przyszły nasyp toru kolejowego, wydaje mi się, że praca jest czemś najpiękniejszem i chciałbym wziąć łopatę i także pracować. To jest właśnie suggestja sztuki i jej potęga. Gdy widzę, jak do przedziału wagonu wchodzi jeden z chłopców, niedawny złodziejaszek, któremu teraz powierzono pieniądze na zakup prowjantów na drogę i wszyscy z wychowawcą na czele wybuchają żywiołowym śmiechem— radością, że nie zawiódł, że kupił, że zdążył — sam się cieszę. W innym wypadku możebym i mówił sobie pocichu: czego się śmiejesz, stary durniu, ale teraz uważam, że śmiech jest czemś najważniejszem.

Reżyser Ekk, umiejętnie zużytkowując materjał aktorski (młodych chłopców), potrafił zeń wydobyć *maximum* swobody i żywiołowej szczerości, a przez zespolenie starannie opracowanej ilustracji muzycznej (umiejętne operowanie chórami) z odpowiednikiem w nastroju treści wizualnej, nadać poszczególnym scenom wyrazistość suggestywną. Wyzyskana jest symbolika krajobrazu. Pokazane jest również, jak obraz może „wjeżdżać" w jego pole. Zdjęcia piękne.

MAJESTIC: „Drewniane Krzyże" reż. Raymond Bernard I znowu film o wojnie. Ale reżyser odrazu zdobywa nasze zaufanie. Nie usiłuje za wszelką cenę, wzorem innych przysięgłych pacyfistów, wytłumaczyć, nam, jak małym dzieciom, że wojna „be". Pokazuje wojnę, nie dodając od siebie żadnych pustych morałów, przypuszczając że my sami głębiej i wszechstronniej rozumiemy całość tego skomplikowanego zagadnienia. A my, nie zawsze przyzwyczajeni w kinie do podobnego traktowania, wdzięczni jesteśmy za podobnie uprzejme o nas mniemanie.

Pokazano nam okropność, jako ulegalizowaną codzienność życia garstki żołnierzy francuskich. Wojna wypycha wszystko inne i zajmuje film na całej przestrzeni taśmy. Niema żadego wątku narracyjnego. Widzimy tylko ż y w i o ł n i s z c z e n i a, ukazany z całem majsterstwem, na jakie było stać technikę współczesnego dźwiękowego filmu. Karmieni temi obrazami uporczywie, w rozmyślnie przewlekłem tempie, poczynamy ulegać nastrojowi, doznając depresji i znużenia. Prawdzie, uzyskanej dzięki środkom techniki, towarzyszy prawda artystyczna; aktorzy, z odtwarzanych ról żołnierzy, usunęli wszelki cień estetyzowania gry, dając surowy wycinek życia. Możnaby „Drewnianym Krzyżom" zarzucić, tak jak „Grunwaldowi" Matejki, usterki kompozycyjne, jeśli chodzi o całość. Czy jednak „dobrze skomponowany" Grunwald dawałby równie silne wrażenie walki?

KANDYD

OFENSYWA

RESPONS

Z listu (a raczej z jednego z listów):

... „i dlaczego taki inteligentny, taki kulturalny, taki europejski pisarz o skroś zachodniej kulturze, autor tylu... utworów scenicznych... tylu... studjów (Wyspiander, Słowacki, Felicjan), które znam z „Wiadomości Literackich" zamiast dać coś nowego na scenę, wrócić do „Meandrów", dawać nam piękne prace o zagranicznej literaturze, sprzymierzyć się z naszym Boyem i szerzyć światło, nadal wciąż zajmuje się tą nudną polityką, na której się podobno nie zna i wciąż nic, tylko tymi żydami i tymi żydami, co jest i bezowocne i *à la longue* męczące i monotonne... Zastanawiałem się od dawna, co Pana w żydostwie tak specjalnie drażni i dlaczego Pan, żywiąc jako prywatny człowiek do różnych ostatecznie też żydów dużą sympatję, drukowanem słowem tak ogół żydostwa prześladuje i im dokucza i dogryza... Jako młoda, „obiecująca" pianistka mam dużo do czynienia z tą rasą, często, a raczej stale się z nimi stykam, doświadczam od nich wiele dobrego... No więc?... Czekam..."

RESPONS

Nic tylko wycinki i to z jednego tygodnia od 21 do 28 listopada r. 1932.

I

Na wokandzie Sądu Okręgowego znalazła się wczoraj zabawna sprawa o nieuczciwą konkurencję. Oskarżona była niejaka Siemiatycka, żona rabina. Prowadziła ona fabrykę czekolady pod firmą „Peters", używając etykiet i opakowań nadmiernie podobnych do wzorów szwajcarskiej fabryki „Peter".

Ostatecznie firma szwajcarska wystąpiła przeciwko firmie Siemiatyckiej. „Peter" contra „Peters". O co im poszło? O tę jedną literkę „S"...

Siemiatycka tłumaczyła się, iż zgoła nie wiedziała o istnieniu firmy „Peter", zaś używania liter P. T. R. S., zabronić jej nie wolno. Litery te są początkiem słów: Polskie Towary Rabinowej Siemiatyckiej...

II

W i e d e ń: Dzisiejsza „Volksztg" oraz kilka innych dzienników wiedeńskich donoszą, że austrjacka straż celna w Gmünd nad granicą austrjacko-czeską przeprowadziła dnia 27 b. m. rewizję osobistą wyjeżdżającej z Austrji małżonki urzędnika kontraktowego poselstwa polskiego w Wiedniu dr. Parnesa i skonfiskowała ukrytą przez nią sumę 198 tysięcy szylingów austrjackich oraz pewną ilość różnych walut zagranicznych.

Władze celne pozwoliły jej wrócić do Wiednia i przesłały relację o zajściu urzędowi kanclerskiemu w Wiedniu. W związku z powyższą sprawą, dr. Parnes złożył na ręce posła Rzeczypospolitej Polskiej w Wiedniu Łukasiewicza podanie o wdrożenie przeciwko sobie postępowania dyscyplinarnego. Poseł Łukasiewicz zawiesił dr. Parnesa w urzędowaniu i odesłał akta sprawy do Warszawy.

III

Od dłuższego czasu przebywał w więzieniu na Pawiaku dr. T. Oryng, oskarżony o przynależność do kół kierowniczych Komunistycznej Partji Polski i o posiadanie w swym mieszkaniu przy ul. Koszykowej „podręcznego składu broni i materjałów wybuchowych".—Wraz z nim trzymano w więzieniu A. Hocha, rzekomo inspektora armij sowieckich. Wczoraj Hocha odstawiono do szpitala w Tworkach na obserwację psychjatryczną. Orynga zaś zwolniono za kaucją w kwocie 50.000 zł., zabezpieczoną na księgozbiorze p. Wiślickiego, nie posła na Sejm, ale znanego, wielkiego fabrykanta, zaliczającego siebie również do obozu „sanacyjnego". P. Wiślicki właśnie miał wyjednać zgodę władz sądowych na zmianę środka prewencyjnego w stosunku do dr. Orynga [1]).

IV

P. Leokadja Zdanowiczowa (Koszykowa 44) zamieszkiwała poprzednio w Mokotowie, przy ul. Różanej 43. Pewnej

[1]) Dr. filozofji Oryng był redaktorem „Wolnej Myśli" jest bratem dr. Orynga, redaktora subwencyjnego genewskiego pisma „*Journal des Nations*", gdzie drukował na złość i na przekór tym, co go futrowali dyspozycyjnemi funduszami, ukraińskie „zajawy" bez żadnego komentarza. Wypuszczony komunista jest szwagrem posła Wiślickiego. Poręczył 50.000 zł. przemysłowiec Feliks Wiślicki.

nocy, kiedy okno prowadzące na balkon było otwarte, do mieszkania zakradli się złodzieje. Byli oni ubrani w miękkie pantofle, włożone na obuwie. Dzięki temu snuli się po mieszkaniu ostrożnie jak cienie, nikogo nie budząc. „Lipkarze" byli widocznie dobrze poinformowani o rozkładzie mieszkania, natrafili bowiem szybko na kosztowności, będące własnością p. Zdanowiczowej: obrączki, pierścionki, kolje z wielkim kamieniem i brylancikami: kolczyki i t. d. — i wszystkie zabrali.

Teraz już po nitce do kłębka udało się ustalić, że kolja dostała się do jubilera za pomocą pasera Szapsie Rubina.

V

W ostatnich dniach straż graniczna zlikwidowała rozgałęzioną bandę przemytniczą, która działała od szeregu lat i naraziła skarb państwa na krociowe straty. Od pewnego czasu władze celne zwróciły uwagę na coraz mniejsze wpływy z tytułu cła za jedwabie i koronki zagraniczne, mimo że rynek warszawski był zarzucany temi towarmi. Podjęte wkrótce dochodzenie doprowadziło do wykrycia wielkiej bandy przemytników jedwabiu i koronek.

W wyniku śledztwa aresztowano i osadzono w więzieniu członków bandy przemytniczej, Mendla Hurwicza, herszta bandy...

Nieustalone jeszcze straty skarbu sięgają kilku miljonów złotych.

VI

Straż graniczna trafiła na wielką aferę przemytniczą, która polegała na przewożeniu bez cła do Polski z Niemiec modeli krawieckich sukien, płaszczy, ubrań i t.p. Przemytnicy zaopatrywali się w Niemczech i dostarczali modele przez „zieloną granicę" i Katowice do będących z nimi w kontakcie firm warszawskich.

W dalszym ciągu odbywają się rewizje w innych sklepach, które korzystają z usług przemytników. Jak ustalono, na czele bandy stała przemytniczka Loebenowa z Warszawy.

VII

Grodno. Kontrola skarbowa wpadła na trop potajemnego składu tytoniu w Brzostowicach Wielkich, a należącego do kilku tamtejszych mieszkańców. Rewizja trwała kilka godzin i objęła nawet zabudowania synagogi oraz cmentarz żydowski i łaźnię. Poszukiwania dały wyniki nadspodziewane, bowiem ujawniono około tysiąca kilogramów tytoniu miejscowej produkcji. Plantatorzy tytoniu, w obawie przed zdemaskowaniem, mieli urządzone schowki nawet na cmentarzu, jak to ustaliła rewizja jednej z mogił. Większe zapasy ukryte były w zabudowaniach synagogi.

VIII

W Krośnie (Małop. Zach.) ujawniono niebywałą aferę oszukańczą.

Izba skarbowa we Lwowie została poinformowana o tem, że w wytwórni win Abrahama Wiestreicha w Krośnie dzieją się nadużycia na szkodę skarbu państwa, polegające na potajemnym wyrobie t. zw. sztucznego wina. Wysłano na miejsce specjalną komisję ze Lwowa. Dokonano rewizji w legalnej wytwórni, mieszczącej się w sąsiedztwie potajemnej wytwórni Wiestreicha, przyczem odkryto podziemny rurociąg żelazny, łączący na przestrzeni 22 m. legalną wytwórnię z sąsiednim budynkiem. Rura ta urządzona była w ten sposób, że nadawała się do przelewania zacierów winnych legalnej wytwórni do drugiego potajemnego lokalu. Wydano polecenie aresztowania Abrahama i Salomona Wiestreichów oraz Abrahama Platnera.

IX

Pomimo zlikwidowania w r. b. przez Urząd śledczy dwóch band fałszerzy pieniędzy, w ostatnich czasach znowu zaobserwowano na rynku pieniężnym znaczne ilości fałszywych monet: 1, 2, 5 i 10 złotowych. Monety te podrobiono tak dokładnie, że z trudnością tylko były rozpoznawane. Warszawski Urząd śledczy wziął pod obserwację działalność fałszerzy. W orbitę śledztwa wciągnięto kilkadziesiąt osób, ustalono ich tryb życia i kontakty. Na mocy obserwacji udało się też wyznaczyć przypuszczalne miejsca wyrobu pieniędzy przez bandę, na której usługach pracowało przeszło 100 kolporterów i hurtowników. W ciągu jednej godziny w różnych punktach miasta dokonano 153 rewizyj. Wyniki były nadspodziewane: w zrewidowanych mieszkaniach znaleziono wielkie ilości monet, stopy, odlewy, formy i t. d. Centrala mieściła się w mieszkaniu Szyi Dawida Milwe, przy ul. Smoczej 31, na facjatce.

Sztab właściwych fałszerzy, wykonawców monet, pozostający pod kierownictwem Szyi Milwego stanowili: Aute Milwe, Gerson Mickun, Wolf Edelson, Chil Icek Gójski, oraz Moszek Becher z zawodu galwanizator, którego specjalnością było pobielanie. Hurtownikami, którzy rozdzielali „towar" kolporterom i organizowali cały kolportaż byli Symon Wyszkowski, (niemeld), Pinkus Niderberg (Smocza 8), Jankiel Niderberg (Nowolipie 60) i Izrael Tujtelbaum (Chmielna 122). Ogólna ilość aresztowanych dochodzi do 150.

X

Ławę oskarżonych zajął wczoraj młody, przystojny mężczyzna Chaim Dawidson, bardziej znany jednak pod nazwiskiem hr. Korneckiego. Pod tem nazwiskiem krążył po Warszawie i oto dziwne sprawy erotyczne zaprowadziły go przed Sąd. Fałszywy hrabia na ul. Królewskiej zaczepił jakąś elegancką nawet dziewczynę. Przeszli kilka kroków razem i niebawem znaleźli się w bramie jednego z domów, a następnie i na schody. I t. p. I t. d.

Na tem przerwiemy, na rozprawie sądowej hrabiego Korneckiego - Dawidsohna... nie wchodząc w jej szczegóły.

Oto jest jeden tydzień Droga Pani! Jeden tydzień z początku roku 5693 żydowskiej ery.

Oto z jakich powodów jako nie już „narodowiec" ale właśnie jako państwowiec „zajmuję się intensywnie" problemem żydowskim i zwalczam każdego, co „zastał Polskę Lechicką, a zostawia Wiślicką"... Wielkim nam będzie ten, co rozwiąże żydowski problem w Polsce. To jest Czyn do spełnienia. Ale gdzie jest nasz *„Rattenfenger von Hammeln"*... Gdzie ten Mojżesz, co ich przez Czerwone Morze?... Gdzie ten Haman?, gdzie Haman? Jam tylko Johanaanem... Homana, Droga Pani, nie więcej i nie mniej.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Stary dziennik warszawski, dn. 28 z. m. rano, temi słowy podał wiadomość ze Lwowa (telefonem od własnego korespondenta) o zabójstwie ś. p. Grotkowskiego:

„Zamordowanie studenta: Ostatniej nocy w rezultacie bójki ulicznej zamordowany został student akademji medycyny weterynaryjnej, Jan Grotkowski. Dwaj towarzysze jego są lekko ranni. Sprawców, rekrutujących się z mętów ulicznych, aresztowano".

Oto wszystko. Nie ośmielono się nawet wymienić nazwisk żydów - morderców... Krótka, petitowa notatka.

*

Opowiadają sobie na Olimpie, że krakowski „Czas" ma się zlać w jedno z warszawskim „Dniem Polskim" i poznańskim „Dziennikiem". Powtarza się historja z Olimpu greckiego, kiedy to Chronos połykał swoje dzieci (aby później niemi wymiotować). Oby połknął jaknajwięcej tych gadzin! We Lwowie „Słowo Polskie" pożarło „Gazetę Lwowską". Powinno się to wszystko zlać w jeden kanał prasowy, a tytuł dać temu jeden: „Chwila"...

*

W pismach warszawskich ukazała się niedawno następująca depesza P.A.T.-a:

„W Brukseli zmarł rabin Herschtein, jeden z najpopularniejszych rabinów wśród polskiej kolonji w Belgji."

Depesza ta przeszła niepostrzeżenie, a przecież treść jej jest rewelacyjna. Gdyby ją przeczytał Francuz lub Anglik w swem piśmie codziennem zawołałbym z gniewem: Co za głupstwa uczono mnie w szkole! Mówiono mi zawsze, że Polska jest krajem katolickim, co więcej, dzienniki pisały to samo. Co za blaga. Tyle lat żyłem na świecie i teraz dopiero urzędowa polska ajencja telegraficzna autorytatywnie wyjaśniła, że Polacy są wyznania mojżeszowego!

...A potem gniewamy się na Piotra Benoit, że p. Curie-Skłodowską nazwał Izraelitką. Chyba się nie pomylił... Przecież jest Polką!

*

Zygmunt Krasiński (w liście do Potockiej)

„Czem istotnie Żydzi wśród świata naszego, wśród epoki Chrześcijańskiej? Oto dochowanym zabytkiem, nie tkniętym, nienaruszonym zabytkiem ideału ojczyzny starożytnej, pogańskiej która na tem zależała, aby odgraniczyć się od całej ludzkości, być ciasną, być egoistyczną, starać się pod swoją jednostkę ludzkość całą podciągnąć lub swoją jednostką ludzkość całą zamordować. Nie inny ideał rzeczypospolitej greckiej, nie inny Rzymu, nie inny żydowskiego państwa: „Mój Bóg jest Bogiem zazdrosnym, Bogiem gniewu, każe zabijać cudzoziemców, rugować inne ludy z ich ojczyzn, by moja ojczyzna pierwsza się stała przez zniszczenie ludzkości"! To żydowska miłość ojczyzny i dlatego nam się podłymi, obrzydliwie szkaradnymi wydają ze starym ideałem żyjąc wśród wyższego ideału, wśród chrześcijaństwa."

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA RYCZAŁTEM OPŁACONA